EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 listopada 1938 r. Nr 31 (134)

ZŁUDZENIA „PACYFIZMU INTEGRALNEGO”

Było to dawno, dawno temu... Zaledwie dziesięć lat upłynęło od tego czasu, a przecież chwilami wydaje się, jakby dwa pokolenia już minęły od tych dni. Świat wydawał się taki spokojny, taki demokratyczny... Nawet Lewiatany wszystkich narodów Europy wierzyły w pokój i odpowiednio do tego układały swe interesy. Socjaliści siedzieli w rządzie niemieckim, w gminie miasta Wiednia, szli ku władzy w Angli. Cała Europa wyglądała jak część półwyspu skandynawskiego. Cała Rzesza, jak długa i szeroka, gorączkowała się, i ważyła, czy należy budować jeden (jeden!) nowy pancernik. O wojnie opowiadano jak o strasznej marze przeszłości. Remarque święcił triumfy w literaturze i na ekranie.

W te to zamierzchłe dni wyrósł na lewicy społecznej i stał się modnym kwiat zgoła egzotyczny: „pacyfizm integralny“. Nikt nie groził niczyjej wolności — przynajmniej u nas, w Europie. Nikt na lewicy nie mógł — i nie może do dnia dzisiejszego — propagować żadnych wojen ofensywnych. Czyż wobec tego nie było szaleństwem dopuszczać bodaj samej myśli o wojnie? Czyż nie należało z góry, a priori ją odrzucić? Czy koncepcje wojny, jakiejkolwiek wojny, nie mogły pochodzić tylko z gabinetów wielkich trustów, z zakamarków „krwawej międzynarodówki“ handlarzy broni i śmierci, szukających zysków, milionowych zysków z produkcji narzędzi mordu? Wszystko to zdawało się takie jasne, takie proste... Nigdy więcej nie będzie wojny! Rzućmy broń! Zastąpmy ją szlachetnym współzawodnictwem pracy i umysłowego wysiłku! Pertraktujmy, zamiast wojować! Te hasła, te myśli — jakże piękne i jakże szlachetne! — panowały w opinii demokratycznej Zachodu, te hasła wpływały nawet w pewnym stopniu na politykę — przypomnijmy tu chociażby pewne zahamowanie zbrojeń angielskich.

Cokolwiek dałoby się zarzucić ówczesnym zwolennikom „integralnego pacyfizmu“, jedno trzeba im przyznać niewątpliwie: był to pacyfizm szczery, pacyfizm demokratów, pragnących wolności dla wszystkich. Była to szlachetna utopia.

Dziesięć lat minęło od tego czasu. Strasznych, ciężkich dziesięć lat. Dziesięć lat, w ciągu których zawaliła się wolność, uległo podeptaniu człowieczeństwo połowy naszego kontynentu. Upadła, osłabiona własną niemocą, demokracja niemiecka. W okrutnej szkole obozów koncentracyjnych uczy się ona dziś walczyć twardo, ofiarnie i zwarcie o swe ideały, i swe prawo do życia. Upadł w walce, zbombardowany haubicami robotniczy Wiedeń. Ci, co go zdławili, sami z kolei ulegli silniejszym od siebie. Dygnitarze austriackiego klerofaszyzmu przechodzą „przeszkolenie“ w Dachau.

Pod knutem faszystowskich bojówek wszystkie siły narodu niemieckiego i włoskiego zostały zaprzęgnięte do gorączkowego dozbrojenia. Z roku na rok, z miesiąca niemal na miesiąc podwajały się efektywy lotnicze, efektywy artylerii, efektywy tanków „osi“. Dyktatorzy co dzień, przy każdej sposobności mówili o przyszłej wielkiej rozprawie, o „odświeżającej stalowej kąpieli“. Oś przeszła do czynnych agresji. Od lat spływają krwią Chiny. Szydząc z sankcji Ligi Narodów, Włochy podbiły Abisynię. Od dwóch lat oba mocarstwa osi toczą bez przeszkód wojnę w Hiszpanii. I oto nagle znajdują się ludzie, którzy zaczynają nam, w roku 1938, nucić na nowo piosnkę „integralnego pacyfizmu“. Trudno to tym razem nazwać szlachetną utopią.

Bądźmy szczerzy: niewielu jest w Europie szczerych, prawdziwych „pacyfistów integralnych“: garść działaczy francuskiej S.F.I.O., „ludzi miękkich“, jak ich słusznie określił red. Niedziałkowski. Garść — by-

najmniej nie większość. Nawet we Francji, przeciw „integralnym pacyfistom“ staje większość partii socjalistycznej: lewicowiec Żyromski obok starych, firmowych „prawicowców“ jak Lebas i Dormoy. W Anglii stary Lansbury stracił niemal zupełnie wpływ wśród swych towarzyszy, a „integralnie pacyfistyczna“ Independent Labour Party wbija swym stanowiskiem w tej sprawie tylko ostatni gwóźdź do swej, i tak od dawna już gotowej, trumny. Jeśli dodamy jeszcze pewne grupki wśród socjalistów skandynawskich, to już byłoby wszystko. Nie zbyt wiele doprawdy. Napewno za mało, by poświęcić temu artykuł w Polsce, w kraju, w którym tego rodzaju uczciwych „integralnych pacyfistów“ możnaby szukać ze świecą i — nie znaleźć.

To też, jeśli piszemy o tym, to mamy na myśli nowy typ „integralnych pacyfistów“, typ, który trudno doprawdy nazwać uczciwym. Nie chodzi tu, oczywista, o prywatną uczciwość. Chodzi o uczciwość polityczną. Bo jeśli uczciwi „integralni pacyfiści“ są dziś w Europie na ogół zjawiskiem dość rzadkim, to inna ich kategoria: kategoria obłudnych pacyfistów integralnych, obrodziła ostatnio niezwykle obficie. Najbardziej klasycznym typem tego gatunku jest premier Wielkiej Brytanii, mr. Neville Chamberlain.

Podług tej kategorii „pacyfistów integralnych“ każdy akt agresji ze strony mocarstw osi jest aktem pokojowym, lub, conajwyżej, drobnym, nic nie znaczącym uchybieniem wobec dotychczasowych zwyczajów. Aktem wojennym, aktem prawdziwie agresywnym byłoby natomiast przeciwstawianie się agresjom „osi“. Kiedy Niemcy i Włochy interweniują w Hiszpanii, to po pierwsze nie wiadomo, czy one w ogóle interweniują — przecież ambasady niemiecka i włoska kategorycznie zaprzeczają wszelkim informacjom o interwencji. Po drugie, gdyby nawet coś prawdy było w tych pogłoskach, to czyż można mieć za złe Włochom i Niemcom, że chcą nieco pomóc swemu przyjacielowi Franco, człowiekowi tak „pobożnemu“ i „patriotycznemu“? Conajwyżej należy się zabezpieczyć, by kiedyś po zwycięstwie Franco wojska włoskie i niemieckie doprawdy wycofały się z Hiszpanii. Natomiast, jeśliby n. p. Francja, nie chcąc by jej komunikacje z Afryką Północną zostały przecięte przez bazy lotnicze włoskie, nie chcąc, by na jej granicy pirenejskiej stanęły niemieckie eskadry i baterie, sprzedała — za gotówkę oczywiście, za dobre, hiszpańskie złoto! — republikanom hiszpańskim bodaj połowę tej broni, którą generałowi Franco dostarczają na kredyt Niemcy i Włochy, to byłby to akt prowokacji wojennej, podjętej planowo przez francuską „partię wojenną“, zmierzającą do podpalenia Europy! Bo takie jest — podług wspólnej terminologii Faszinternu i angielskich chamberlainistów — prawo „integralnego pacyfizmu“, że mocarstwom osi i trójkąta atakować wolno, ale napadniętym nie wolno się bronić, a tym bardziej nikomu nie wolno dopomagać napadniętym.

Czyż trzeba powtarzać to co już powiedzieliśmy, czyż trzeba przypominać dalsze przykłady? Zdaje się, że najlepiej sprecyzował treść moralną tego oryginalnego „pacyfizmu integralnego“ konserwatywny, ale anty - chamberlainowski, poseł Izby Gmin Herbert Macmillan, oświadczając: „Zawsze można uspokoić lwy, jeśli rzuca się im ludzi na pożarcie“. Niemniej słusznie scharakteryzowała go brytyjska Labour Party, określając jego treść polityczną, podług lapidarnego sformułowania red. Niedziałkowskiego, jak następuje: „Co to jest „pacyfizm integralny“? Jest to kapitulacja przed hitleryzmem“.

W Polsce powiedzielibyśmy nieco więcej. W Polsce nie ma starego, czcigodnego nawet w swym niezrozumiałym wprost zaślepieniu Jerzego Lansbury. W Polsce są za to pismaki hitlerochwalcze, oklaskujące radośnie każdy nowy triumf osi, bez względu na to, czym on grozi już nie człowiekowi i wolności, wartościom, nie istniejącym dla tej kategorii ludzi, ale bezpieczeństwu i niepodległości Polski. W Polsce są skryby obryzgujące plugawą śliną każdego, kto chciałby, by ich nowe bóstwa stanęły na swej krwawej drodze wobec oporu wolnych ludów. W Polsce istnieje tylko próba przeszmuglowania — pod osłoną słów o pokoju — obrony i apoteozy wojennych agresji osi i spotwarzania, sponiewierania i oczernienia, jako „partii wojennej“, tych, którzy gdziekolwiek tej osi stają w drodze.

Stwierdzimy dla dopełnienia obrazu, że swym krzykiem o „pokojowych“ rozwiązaniach poszczególnych problemów, swymi peanami na cześć mocarstw osi jako „gwarantów pokoju“, polscy heroldowie prasowi Faszinternu głoszą w rzeczywistości wojnę, wojnę zaborczą, wojnę napastniczą, taką wojnę, przeciw której zawsze walczyć będzie demokracja. Czyż nie w obronie pokoju zagrożonego przez Abisyńczyków pod Ual-Ual ruszyły na Addis-Abebę włoskie samoloty bombardujące? Czyż nie w imię pokoju, zagrożonego, przez Republikę hiszpańską, wojują w Hiszpanii czarne i brunatne legiony?

I dlatego demokracja polska nie może pozwolić, by gdziekolwiek, ktokolwiek w jakiejkolwiek formie przemycał do jej środowiska truciznę obłudnego „integralnego pacyfizmu“.

ROMAN LANG.

Praca piśmiennicza w szlachetnym pojęciu jest walką idei; aby pewna idea zwyciężyła, trzeba wprzód pokonać ideę jej przeciwną, bez względu na jednostkę, która ją głosi. Kto tak pojmuje swe powołanie pisarskie, ten w walce nie może oszczędzać jednostek (jak nie oszczędza i siebie), albowiem chodzi tu o coś ważniejszego niż jednostki; chodzi o ideę, to znaczy o ludzkość całą, o jej rozwój, jej dążenie w niezmierzoną dal wieków, ku wysokim niewiadomym celom.

WACŁAW NAŁKOWSKI

Z DNIA NA DZIEŃ

DEMOKRATA

Wacław Sieroszewski ogłosił na łamach „Gazety Polskiej"" oświadczenie, w którym m. in. czytamy: „Wierzę i głoszę, że O. Z. N.-owi przyświecają narazie dwa zasadnicze cele: demokratyzacja dobrobytu i demokratyzacja wiedzy".

W ostatnich latach prezes PAL-u odzywa się dość rzadko. Autor pisanego w Cytadeli warszawskiej popularnego w przedwojennym ruchu demokratyczno-niepodległościowym wiersza p. t. „Czego chcą oni?" — jako kreowany na podstawie ordynacji p. Sławka senator wsławił się przede wszystkim dwoma wystąpieniami w parlamencie: pochwałą Berezy jako doskonałego środka wychowawczego i filipiką przeciw sądom przysięgłych. Były demokrata i bojownik niepodległościowy stanął w jednym szeregu z endekoidami typu p. Siody. Wyczuł „nowe" prądy i — choć stary — dotrzymał kroku „młodym" i najmłodszym. Otwarcie zerwał z demokracją, potępił ideały, które głosił w młodości, zdezawuował własną przeszłość i — wylądował w Ozonie. Dziś zachwala „demokrację" Hrabyków.

PATRZCIE PAŃSTWO!

W **„Słowie"** wileńskim na czołowym miejscu Nr 299, zamiast artykułu wstępnego, znajdujemy płomienny apel do wilnian, wystosowany przez pewne stowarzyszenie miejscowe. W apelu tym chodzi o mężów zaufania przy wyborach w 39 obwodach 46-go okręgu, z którego między innymi kandyduje na posła do Sejmu, Stanisław Mackiewicz (Cat), naczelny redaktor bojowo-prawicowego „Słowa".

Wspomniane stowarzyszenie, powoławszy się w swym wezwaniu na odpowiedzialną i zaszczytną rolę mężów zaufania, — wypowiada takie przekonanie: „...nie wątpimy, że znajdzie się większa ilość obywateli naszego miasta, która zechce na siebie tę rolę przyjąć w poczuciu, że spełnia istotny i ważny obowiązek obywatelski". „Liczymy — czytamy dalej — że nam pomogą obywatele wybitni bez względu na przekonania polityczne. Narodowiec, postępowiec, polski socjalista, czy monarchista, będzie powitany jednakowo, gdyż chodzi nam poprostu, aby wespół z członkami Komisji obwodowych ułatwić zabezpieczenie całkowitej czystości wyborów".

Patrzcie państwo! Postępowiec, socjalista! Proszę siadać! Ależ owszem: zasada słuszna, mości panowie! Kto w świecie bywały i z wersalem obyty, nie zwykł się po parafiańsku boczyć na jegomościów zacnych i uczonych, choć są z pod innego znaku. Byleby łacno i uczciwym sercem Polsce służyli.

Niema co mówić: zasada zasadą, kultura polityczna kulturą, nikt przeciw temu. Ale coś tu się nie wiąże w tym... dotąd hitlerochwalczym „Słowie". Aż głowa boli. Bo jakże: postępowiec, to chyba mason. Socjalista, Chryste Panie! Toż to fołksfront! Co temu Catowi? Godzić się na takich mężów zaufania! Nie ma co mówić: stowarzyszenie dla niedźwiedzich przysług.

REDUTA POLSKOŚCI I DEMOKRACJI

Organizacyjne zjednoczenie ruchu robotniczego na Śląsku Zaolzańskim z organizacjami robotniczymi Polski jest już faktem dokonanym. Nastąpiło połączenie organizacji politycznych, zawodowych, sportowych i oświatowych.

Ogłoszona w „Robotniku" deklaracja połączeniowa stwierdza, że robotnicze Zaolzie przyłącza się do walki całego ludu polskiego w imię „Wolności i Demokracji — jako zasad Niepodległej Polski Ludowej". Wyraża przekonanie, że „lud Zaolzański winien posiąść całkowite prawo do swobodnego i nieskrępowanego urządzenia się we wszystkich instytucjach samorządu terytorialnego, ubezpieczeniowego i fabrycznego oraz do korzystania z pełnego prawa zakładania i rozwijania swych organizacyj politycznych, zawodowych i oświatowych. Jak najszybsze przywrócenie praw i swobód leży w interesie normalizacji stosunków politycznych i gospodarczych Zaolzia a nade wszystko w interesie Polski, w której Zaolzie nie może być w żadnym wypadku pokrzywdzone. Prawa ludu Zaolzia, zdobyte u obcych, nie mogą być pod żadnym pozorem pomniejszane u swoich".

Ludność Śląska Cieszyńskiego, wychowana w długoletniej szkole demokracji politycznej i swobód obywatelskich, zdobytych w walce z biurokratycznym centralizmem wiedeńskim, a rozbudowanych i umocnionych po upadku monarchii habsburskiej, staje dziś pod sztandarem wolności jako jeden z czołowych oddziałów polskiego obozu demokratycznego. Dotychczasowe jej zdobycze nie mogą być umniejszone, jej sytuacja prawna i materialna nie może być „wyrównana w dół" — do poziomu, na jakim znajduje się reszta obywateli Rzeczypospolitej. Przeciwnie, demokracja całego kraju, oczekując od braci z za Olzy poparcia swej walki o wolność, o prawa człowieka i obywatela, ze swej strony wszystkimi siłami wesprze dążenia ludu śląskiego do utrzymania w całej rozciągłości dotychczasowych jego zdobyczy na polu społeczno - politycznym i gospodarczym. Macki hitleryzmu już wysuwają się na ziemię cieszyńską. P. Wiesner i jego potężni mocodawcy pożądliwie spoglądają na „odwiecznie niemiecki kraj" za Olzą. Zechcą corychlej wybudować i na tym terenie Deutsches Heim germanizacji, opleść Zaolzie siecią politycznych placówek wszechniemieckiej ekspansji, uczynić z niego jeszcze jedną pozycję wyjściową dla odrodzonego w hitleryzmie zaborczego Drang nach Osten.

Polskie organizacje i ugrupowania antydemokratyczne nie potrafią hitlerowskiemu naporowi przeciwstawić żadnej żywej i twórczej, porywającej masy idei. Lud zaolzański, zrośnięty z demokracją, przywiązany do wolności, pod sztandarem własnej, demokratycznej organizacji stawi skuteczny opór hitlerowskiemu, zaborczemu pochodowi despotii i wstecznictwa. Ruch robotniczy jest, jak w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, niezdobytą redutą polskości w kraju zaolzańskim. Prawa polityczne i społeczne tamtejszego ludu są najpewniejszą gwarancją bezpieczeństwa tej ziemi, o której niemieckości nagle zaczęła się rozpisywać prasa berlińska!

DONIEŚĆ NA PIŚMIE.

W krakowskim „Naprzodzie" czytamy:

„Inspektor szkolny, p. mgr. Wieczorek Jan, wizytuje jedną ze szkół w Nowej Wsi (G. Śląsk). Poleca pokazanie sobie biblioteki nauczycielskiej. Z otwartej szafy wyjmuje jedną z książek i czyta: Metallmann „Wstęp do filozofii"

— Panie kierowniku!! Czy to żyd?

— ?

— Proszę to zbadać i donieść mi na piśmie.

Jak wywiąże się kierownik z tego po-

lecenia, nie wiemy. Wiemy natomiast, że p. Metallmann jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i wiemy, że p. Wieczorek uzyskał przed paru laty stopień magistra filozofii na tymże Uniwersytecie.

Możeby tak Wydział Oświecenia Publicznego zbadał, czy taki p. Wieczorek w ogóle nadaje się na inspektora szkolnego? Występ p. mgr. Wieczorka mówi bowiem wyraźnie: „wess Geistes Kind" („czyjego ducha dziecięciem") jest p. Wieczorek".

Oto jeszcze jeden ze znanych sposobów deprecjonowania przodujących i doborowych umysłów polskich. W kogo ten „cios" miał uderzyć? W wybitnego uczonego i pracownika kultury, która nie jest polem dla rozpychania się łokciami i robienia kariery, lecz wspólnym dobrem narodu, jego wkładem do skarbnicy cywilizacji ludzkiej. Któż bardziej powinien to rozumieć, niż inspektor szkolny i opiekun oświaty?

Jak bardzo „współczesną" wymowę ma przytoczony powyżej dialog, zrozumie czytelnik, gdy przypomnimy, że prace prof. Metallmanna wydawała własnym nakładem Polska Akademia Umiejętności i na swój koszt wysłała go na Jawę w celach naukowych!

Nie zdziwi więc nikogo niesmak, wywołany w świecie nauki i kultury polskiej tym wystąpieniem pana inspektora szkolnego, który jest nim chyba tylko przez nieporozumienie.

STAŁOŚĆ PRZEKONAŃ.

Jest sobie w Wilnie pismo codzienne — Kurier Powszechny. I jest jego redaktor — pan Święcicki. Pismo było demokratyczne i redaktor był demokratą. Walczył w obronie człowieka i wolności, przeciwstawiał się zalewowi totalizmu.

Ale przyszła godzina próby. Trzeba było wyciągnąć konsekwencje z tego, co się dzień w dzień na łamach Kuriera Powszechnego głosiło. Nie każdemu jednak siły dopisują właśnie w godzinach próby: pan Święcicki obraził się na... Stanisława Mackiewicza. Bo publicysta konserwatywny, zgodnie z swymi przekonaniami politycznymi, ośmielił się — o zgrozo! — wysunąć swoją kandydaturę do Sejmu, psując przez to jakieś tam plany i widoki wyborcze naszego „demokraty". A wtedy redaktor Kuriera Powszechnego nie zdzierżył: w mgnieniu oka zwrócił się w stronę obozu antydemokratycznego i na łamach swego pisma zaczął popierać zwalczany przez p. Mackiewicza OZN.

Wileński „Kurier Powszechny" nie chce już widocznie być organem demokracji. Ale cóż? Baba z wozu — koniom lżej.

Ratunek przed totalizmem

„Kurier Wileński" przytacza następujące oświadczenie inż. Barańskiego, wodza wileńskiego O. Z. N.:

„Nie Polska prezydenta Dmowskiego czy Witosa, ani premiera — Mackiewiczy czy Kowalskiego, ale Polska, która będzie musiała wówczas iść na niebezpieczny i obcy psychice narodu eksperyment totalistyczny, będzie tą — która przypuszczalnie nastąpi w razie, jeśli społeczeństwo w swej poważnej większości, nie tylko w wyborach, ale w całym swoim nastawieniu nie przyjmie jako swoich założeń Obozu Zjednoczenia Narodowego. OZN — to próba ratowania Polski przed totalizmem.

Dlatego radzę panom oponentom Obozu w okręgu 46-tym zmienić swoją platformę wyborczą. Nie zwalczajcie kandydatury gen. Skwarczyńskiego straszakiem totalizmu, gdyż właśnie ten, kto nie chce totalizmu, będzie i musi głosować na jenerała Skwarczyńskiego"

Żydowski atut

Rząd węgierski wprowadził nie dawno ustawy przeciwżydowskie, w dotkliwy sposób pogarszając położenie ludności żydowskiej. A warto przypomnieć, że Żydzi węgierscy odznaczali się zawsze gorącym przywiązaniem do swej ojczyzny, że w całej monarchii habsburskiej słynęli z patriotyzmu a nawet szowinizmu madziarskiego. I jeszcze po odłączeniu Słowaczyzny i Rusi Zakarpackiej od Węgier zachowali na tych ziemiach język i kulturę węgierską. Oczywiście antysemityzm węgierski skwapliwie o tym „zapomniał" — gdy trzeba było uczynić z Żydów kozła ofiarnego na ołtarzu walki z demokracją.

Dopiero ostatnio przypomniano sobie znowu o przywiązaniu Żydów do Węgier. Jak wiadomo, na Rusi Zakarpackiej żyje poważny odsetek ludności żydowskiej, który miastom tamtejszym do dnia dzisiejszego nadaje charaker w znacznym stopniu węgierski. I oto w antysemickim „Gońcu Warszawskim" przeczytaliśmy następujące doniesienie o przebiegu wiedeńskiej konferencji arbitrażowej, decydujące o losach Rusi Zakarpackiej:

„Spór szedł o to, jaki spis ludności przyjąć za podstawę decyzji. Węgrzy upierali się — przy spisie przeprowadzonym w roku 1910 przez władze węgierskie; — spis ten nie uznawał narodowości żydowskiej, dzięki czemu np. w Munkaczu, gdzie mieszka 20.000 Żydów, stwierdzono dominującą większość — węgierską. Uznanie tego spisu za podstawę arbitrażu dało sukces tezie węgierskiej, popieranej przez Ciano".

W tym wypadku opłaciło się uznać Żydów za Węgrów! Wzniosłe zasady odżydzeniowe, głoszone i realizowane przez węgierskich antysemitów poszły (na chwilę) do rupieciarni, odpadła troska o czystość rasy madziarskiej, znikł strach przed zabójczym wpływem ducha żydowskiego na kulturę narodową. Bo tak chciał **interes...** narodowy.

Kodeks wzniosłej moralności

Płomienne nawoływania ministrów angielskich i francuskich do gromadzenia i zabezpieczania wszystkich zasobów i surowców krajowych dla celów obronnych, obowiązują wszystkich obywateli. Obowiązują... z wyjątkiem... handlarzy śmierci i magnatów przemysłowych. Bo oto prasa doniosła, że T-wo Bordoskie wysłało teraz z Sète-Ville do Volklangen 780 ton odpadków pirytu żelaza, zawierającego 3% miedzi. Bo oto w zeszłym tygodniu wywieziono także do Niemiec zapasy rudy żelaznej z Trignac.

„Oeuvre" informuje, że angielska rządowa fabryka broni w Woolwich dostarczyła Niemcom 500 ton złomu żelaznego, z portu londyńskiego zaś 1000 ton odpadków miedzi.

„Sunday Expres" podaje wiadomość, że Niemcy nabyły ostatnio na rynku brytyjskim ogółem 40.000 ton złomu żelaznego i że wkrótce spodziewane są dalsze zamówienia.

Ale czyż może być inaczej? Skoro handlarze-ministrowie frymarczyli w Monachium honorem i wolnością narodów, dlaczegóż pod ich rządami nie można w portach handlować miedzią i żelazem, potrzebnymi do obrony kraju? Wiadomo, że handlarze mają wspólny język. Wiadomo też, że mają wspólny kodeks wzniosłej moralności, która w imię wysokiej zasady zysku nie pozwala sprzeciwiać się złu i nakazuje uzbrajać swoich śmiertelnych nieprzyjaciół.

Winston Churchill

„...jeżeli w Anglii doszedłby do władzy w miejsce Chamberlaina pan Duff Cooper lub pan Eden, albo też pan Churchill, niewątpliwie celem tych mężów byłoby natychmiastowe rozpoczęcie wojny światowej! (Adolf Hitler: Mowa w Saarbrücken).

Wśród głosów atakujących politykę kapitulacji „wielkich demokracyj“ przed Hitlerem, uwieńczonej obezwładnieniem Czechosłowacji, najmocniej zabrzmiał głos grupy „wojennej“ w parlamencie brytyjskim. Paradoksalna sytuacja. W pierwszym groźnym, międzynarodowym konflikcie między demokracją a faszyzmem, bojownikiem o dominującą pozycję demokracji w układzie europejskim okazuje się odłam konserwatystów angielskich, reprezentujący najpoważniejszy atut imperium brytyjskiego — marynarkę wojenną.

Czołową postacią tej grupy jest niewątpliwie — Winston Churchill. Potomek książąt Marlborough, jedyny syn lorda Randolpha, również wybitnego polityka, który wsławił się projektem radykalnych reform społecznych, wysokiego opodatkowania klas posiadających, budowy domów robotniczych, pożyczek dla farmerów i t. d., Winston ma wiele wspólnych cech z ojcem. W latach młodzieńczych nie zdradzał zainteresowania polityką; wybrał szkołę wojskową, a po jej ukończeniu — służbę czynną w pułku huzarów. 20-letni oficer przejawił gorący zapał do rzemiosła wojennego. W tym czasie wybuchło powstanie kolonistów hiszpańskich na Kubie przeciwko Yankesom. Winston Churchill skwapliwie wziął urlop, pojechał na Kubę i stanął w szeregach powstańców jako ochotnik. Wówczas działa tylko pod wpływem silnych wrażeń, lecz już w następnej kampanii przeciw derwiszom w Sudanie, dokąd również dobrowolnie się wybrał, przejawia wielką niezależność i śmiałość swych poglądów. Łącząc pałasz z piórem, jako korespondent wojenny nie zawahał się napiętnować zarządzeń naczelnego wodza lorda Kitchenera, obrażających poczucie ludzkości: dobijania rannych jeńców i zniszczenia grobowca Mahdiego, otoczonego kultem religijnym. Oczywiście takie korespondencje, jako jawne naruszenie dyscypliny wojskowej, uniemożliwiły mu dalszą służbę; musiał podać się do dymisji.

Na tle tych przeżyć napisał książkę „The River War“, w której dał dowód niezwykłej szlachetności uczuć w stosunku do pokonanego przeciwnika, apoteozując nieomal przywódcę powstania, Mahdiego. Natomiast rozczarował się całkowicie do praktyk wojennych.

A przecież wojna go pociągała. Gdy rozpoczęła się kampania przeciw Boerom w Transwalu, Churchill wyruszył znowu na teren działań, jako korespondent „Morning Post“. Lecz na miejscu uległ nastrojom wojennym i wstąpił do szeregu, aby wziąć bezpośredni udział w walce. Broniąc pociągu pancernego, w niezwykle dramatycznych okolicznościach dostał się do niewoli. I wtedy naocznie przekonał się o potworności kłamliwej propagandy wojennej. „Okrutni barbarzyńcy“ zamiast poddać go wyrafinowanym torturom, urządzili mu partię footbolu!

Mimo tak przyjemnej niespodzianki, nie wytrzymał długo w niewoli i uciekł, wykazując niezwykłą pomysłowość i nieustraszoną odwagę. A gdy szczęśliwie wybrnął z niewiarygodnych przygód i opisał je w swych korespondencjach, stał się legendarną postacią. Służbę na froncie spełnił do końca. Doszedł jednak do przeświadczenia, że wojna z Boerami była niesłuszna i że przeciwnicy górują szlachetnością charakteru nad Anglikami.

Dopiero w 36-ym roku życia rozpoczął karierę polityczną, jako poseł do Izby Gmin z partii konserwatywnej, zgodnie z tradycją rodową. Lecz od pierwszego już występu na arenie parlamentarnej zasysowała się przepaść między jego poglądami a partią. Winston Churchill poszedł śladami ojca, propagując szeroki program reform socjalnych, włącznie do 8-mio godzinnego dnia pracy! Napotykając na opór w łonie partii konserwatywnej, Churchill przeszedł do liberałów, którzy z wielkim entuzjazmem przyjęli go i w roku 1906 wystawili na swej liście kandydatów. Oczywiście, ten fakt wzbudził oburzenie w kołach jego dawnych przyjaciół; wyrzucali mu zdradę, tym bardziej, że jego ustąpienie zbiegło się z kompletnym rozbiciem partii konserwatywnej. Powody tej klęski były jednak znacznie poważniejsze.

Nadeszły bowiem lata rozkwitu idej demokratycznych, gdy socjalizm w wielu krajach duchowo zwyciężał i był uznany za ostatni wyraz rozumnej ewolucji. A ponieważ liberali uważali się poniekąd za jego protektorów w sferach rządowych, przeto najczęściej byli rzecznikami reform socjalnych od góry, zyskując sobie poparcie partii robotniczej.

Taką politykę prowadził wówczas czołowy przedstawiciel liberalizmu Lloyd George, szczerze zaprzyjaźniony z Churchillem, uważając go za najwybitniejszego polityka demokratycznego młodej generacji. Churchill stał się filarem liberalnego rządu, zajmując kolejno stanowisko podsekretarza stanu, później ministra handlu, ministra spraw wewnętrznych, a wreszcie ministra marynarki wojennej. Churchill jest autorem doniosłych projektów prawodawczych, dotyczących samorządu kolonij afrykańskich, Homerule'u irlandzkiego, ograniczenia dnia roboczego oraz wprowadzenia państwowych ubezpieczeń dla klas pracujących. To też popularność jego wśród mas wzrastała w odwrotnym stosunku do gwałtownych ataków prasy konserwatywnej.

W demonstracji niemieckiej kanonierki „Panther“ u brzegów Marokka, Churchill — zdecydowany wówczas pacyfista — dojrzał zapowiedź nieuniknionej katastrofy wojennej, która zawisła nad Europą i bezpośrednio zagrażała Anglii. Na skutek jego alarmujących wypowiedzi w kołach liberalnych powstał zamęt, lecz premier Asquith — powierzył Churchillowi stanowisko lorda admiralicji z poleceniem przygotowania do wojny floty brytyjskiej!

Churchill zdecydowanie przechodzi na pozycje — zbrojnego przeciwstawienia się imperialistycznym zamierzeniom Niemiec — w imię interesów Wielkiej Brytanii. Wybuch wojny światowej powitał Churchill z przeświadczeniem o zwycięstwie Aliantów. Jednakże

nie uniknął rozczarowań, głównie z powodu zawziętych ataków prasowych na „cywilnego lorda admiralicji". Po niepowodzeniu zainicjowanej przez siebie wyprawy na Gallipoli, zmuszony był podać się do dymisji. Udał się na front flandryjski i walczył jako dowódca batalionu. Dopiero Lloyd George, stając na czele gabinetu koalicyjnego, wydobył go z rowów strzeleckich i powierzył mu tekę ministra zaopatrzenia armii.

Po wojnie jako zwolennik polityki interwencyjnej przeciw rewolucji rosyjskiej, rozstaje się z Lloyd Georgem, a później — z partią liberalną. Szarpany sprzecznościami, jakie wyłoniły się wskutek niepojętych dla niego wstrząsów socjalnych i załamania się podstaw ustrojowych Europy, wycofuje się na krótko z polityki. Jednakże wrodzona energia i potrzeba działania pchnęły go znowu na arenę życia publicznego. Drogę do partii liberalnej zagrodziły mu nowe rozbieżności — wrócił więc do konserwatystów i przyjął tekę ministra skarbu. Na tym stanowisku pozostał do 1929 roku.

Churchill jest nie tylko świetnym dziennikarzem. Poza wspomnianą książką „The River War" jest on autorem wielkiej monografii rodowej „Marlborough", pracy politycznej „Liberalism and Social Problem" a głównie czterotomowego dzieła „The World Crisis", którego przedmiotem są wypadki polityczne i wojenne od 1911 — 1918. W pracy tej, która jest pamiętnikiem oraz apologią działalności autora, rozwija zasadniczą tezę, że wojnę światową charakteryzowała walka między szkołą doktryn i teoryj strategicznych a szkołą faktów, dowodzi, że zwycięstwo szkoły doktryn było przyczyną przegranej ostatecznej dla jednych a nadmiernych kosztów zwycięstwa — dla drugich.

Podobnie i w poglądach na zagadnienia polityczne doby obecnej nie kieruje Churchillem doktrynalna wrogość do faszyzmu. Antyniemieckie stanowisko dyktuje mu analiza sytuacji wyjściowej do nowego „kryzysu światowego". Nadciągający konflikt zbrojny o nowy podział świata jest w gruncie rzeczy powtórzeniem próby z 1914 r. aczkolwiek w zmienionym nieco układzie. Stawka w tej krwawej grze jest mocno podobna. Europa środkowa i wschodnia, basen śródziemnomorski i Bliski Wschód — oto przedmiot walki między młodszym, bardziej prężnym i zachłannym, a — przede wszystkim — nienasyconym imperializmem osi — Berlin — Rzym, a aliansem mocarstw, wyposażonych w bogate posiadłości kolonialne. Również sytuacja strategiczna zawiera analogie. Zdaniem Churchilla, największym błędem Niemiec w wojnie światowej było — uderzenie na Francję, jako silniejszą (co zresztą wynikało ze strategicznej doktryny — atakować najsilniejszego w najsilniejszym miejscu) i pozostawienie na boku — Rosji. Niemcy, uderzając na Rosję a ograniczając się na Zachodzie do defensywy, opartej na ich potężnym systemie fortyfikacyj, opóźniłyby czynne wystąpienie Anglii. Docierając do źródeł żywności i surowców na Wschodzie Europy, przerwałyby groźną i w rezultacie prowadzącą do klęski — blokadę. W rzeczy samej i obecnie blokada byłaby dla Niemiec najpotężniejszym ciosem. Zamknięcie Gibraltaru i Suezu eliminowałoby flotę sojusznika rzymskiego z wielkiego teatru wojny. Przychylna neutralność U. S. A. sparaliżowałaby możliwość agresji morskiej ze strony Japonii, tak, że na Atlantyku starłaby się The Grand Fleet, posiadająca wspólnie z francuską marynarką wojenną decydującą przewagę — jedynie z flotą Niemiec. Nie jest więc zwyczajnym zbiegiem okoliczności, że zarówno urzędujący jak i byli lordowie admiralicji opowiadają się za wojną — i to nawet — prewencyjną!

W swych ostatnich przemówieniach parlamentarnych i pracach publicystycznych Churchill, oceniając układ monachijski jako bezprzykładną klęskę Anglii i Francji, uderza w kierowników brytyjskiej polityki zagranicznej, którzy — „ani nie przeszkodzili Niemcom zbroić się, ani sami w porę się nie uzbroili". — Podkreślając przewagę Niemiec i Włoch w lotnictwie oraz braki obrony przeciwlotniczej, powiada: — „trzeba jaknajszybciej dozbroić Anglię w powietrzu, doprowadzić naszą obronę przeciwlotniczą do stanu, któryby zapewniał nam bezpieczeństwo". Dla uzyskania przewagi w powietrzu — „należy uczynić wysiłek zbrojny, jakiego jeszcze nie widziano, a wszystkie źródła w kraju i wszystkie zjednoczone wysiłki winny być poświęcone temu zadaniu".

Swą troskę o interesy imperialne i kontynentalne Wielkiej Brytanii Churchill wyraża, rzec można, słowami Woodrow Wilsona (podobnie zresztą Hitler operuje wilsonowskim samostanowieniem narodów!). Atak na Czechosłowację — „byłby zbrodnią przeciw cywilizacji i moralności całego świata". — „Każdy naród mógłby zapytać — kto będzie następną ofiarą". — „Byłoby błędem przypuszczać, że naród angielski jest niezdolny obok innych do obrony zasadniczych interesów ludzkości". Ta forma wilsonowska jest przytym w dużej mierze przeznaczona dla — rodaków Wilsona! Churchill widzi bowiem w demokracji tylko środek i hasło mobilizujące wokół Anglii i Francji zarówno kraje o strukturze demokratycznej, a więc przede wszystkim Stany Zjednoczone A. P. jak i siły postępowe całego świata.

„Times", formułując różnicę między polityką Chamberlaina a linią polityczną Churchill — Eden — Cooper, piszą: — „Premier odbywa konferencję przed wojną a nie po niej. Churchill głosi wojnę zapobiegawczą. Chamberlain natomiast działa według zasad polityki zapobiegawczej". Monachijska konferencja przed wojną nie uczyni jednak zbędną konferencji po wojnie. Kapitulacja w sprawie sudeckiej, która dla Chamberlaina była rezultatem oceny aktualnej możliwości prowadzenia wojny, spowodowała tak olbrzymie wzmocnienie potencjału wojennego Niemiec, że starcie zbrojne wydaje się teraz być bardziej nieuchronne, jeżeli Anglia „nie chce stać się satelitą niemieckiego systemu panowania hitlerowców". Fiasko chamberlainowskich zasad polityki zapobiegawczej wywołało widmo hegemonii faszystowskiej w Europie. Ale sprawą najbliższych miesięcy jest wzmocnienie tendencyj oporu wobec postępu faszyzmu, grożącego już nie tylko mniejszym państwom Europy środkowej i wschodniej, lecz godzącego w podstawy siły i niezależności wielkich mocarstw demokratycznych. Nauki dni wrześniowych nie będą zaprzepaszczone. Względnie niedługi okres pokoju zbrojnego i szalonego wyścigu zbrojeń dzieli nas od nowych dni kryzysu światowego.

Zupełnie trafnie Hitler zaliczył Churchilla do tych polityków brytyjskich, którzy opancerzoną pięścią chcieliby zatrzymać brunatny pochód po Europie. I to nie tylko zatrzymać. Przypomnijmy słowa Churchilla z mowy, wygłoszonej we wrześniu 1914 roku — „gdy wojna będzie zakończona, postaramy się nie powtórzyć błędu, jaki popełniły Niemcy w 1870 roku, gdy Francja leżała u ich stóp!"

AD. IGN. WOLSKI.

Oberże młodzieży we Francji

— Chcesz wybrać się z nami do Bretanii? Robimy auto-stop i ruszamy dziś. Eh? —

Tak oto spytał mnie młody Francuz, gdy w małym lokalu na rue de Valois w Paryżu zapisywałam się do „Auberges de la Jeunesse".

Pomyślałby kto, że „zapisywałam się" ma oznaczać nieskończony ciąg formalności przy uzyskaniu członkowstwa w tej organizacji. Wprost przeciwnie. Fotografia i 15 franków (opłata za cały rok) — oto wszystko.

— Miłych wakacyj, koleżanko — życzy mi sekretarz.

Wychodzę z biura. W ręku mam znaczek: maleńki domek — schronisko i inicjały A. J., mapa Francji z odległościami na km. od jednej Oberży do drugiej i przewodnik: mała książeczka, która mi pomoże odszukiwać po Francji „Oberże".

Cóż to wreszcie są te oberże? — spyta znudzony czytelnik.

Auberges de la Jeunesse — jakbyśmy to powiedzieli — Gospody czy Oberże młodzieży — to organizacja utworzona we Francji przez Front Ludowy. Należeć do niej może każdy, kto nie przekroczył 30-go roku życia. Umożliwia ona szerokim masom młodzieży zwiedzanie pięknych zakątków Francji idealnie tanim kosztem.

Pieszo, rowerami czy tandemami, motocyklami i autami ruszają grupy młodzieży francuskiej, by miło i jak że niezwykle pożytecznie spędzić wakacje, urlopy.

Cała Francja wraz z koloniami stoi otworem przed młodymi. Byłoby to nie do pomyślenia, gdyby nie Oberże rozsiane po całym kraju.

Z mapą i przewodnikiem w ręku jeżdżą po kraju, a zamiast w drogich, a przez to dla niektórych niedostępnych hotelach, zatrzymują się w Oberżach.

W przewodniku dokładnie objaśniona jest droga — Oberże znajdują się zwykle nieco dalej za miastem — liczba łóżek dla chłopców i dziewcząt oraz cena noclegu. Przeciętnie we wszystkich Oberżach wynosi ona 4 fr.—4 fr. 50, podczas gdy za nocleg w hotelu trzebaby zapłacić 15—20 fr. i to zależnie od sezonu.

Na spotkanie młodego, najczęściej zziajanego turysty, lub też całej bandy wychodzi „ojciec" lub „matka". Są to kierownicy takiej gospody, którzy czuwają nad tym, by „dzieci" miały wszystko czego potrzeba. „Dzieci" odstawiają rowery, motocykle, zdejmują plecaki i oddają legitymacje.

Zależnie od pory dnia — wspólny posiłek. Za niską cenę zdrowe i solidne pożywienie. Gwarno i radośnie jest przy posiłkach. Młodzi podróżnicy przynoszą krzesła i stoły, nakrywają do stołu. Apetyty zastraszające, co nie przeraża „matki" i „ojca", przygotowanych na wszystko. Chleb znika w potężnych ilościach. Ileż przy tym opowiadań, jakiż młodzieńczy humor!

Zdarza się, że jeden opowiada na cały stół frapującą przygodę, która mu się zdarzyła podczas włóczęgi w Algierze, czy Marokku. Najczęściej dzielą się wrażeniami — grupami. Czasem wykrzykniki.

— Tiens! skądżeś się tu wziął? Witaj kolego! A przecież zostawiliśmy cię w Oberży w X. Jedziesz z nami? —

— Czekaj, czekaj, skądże ja Cię znam? — pytają się siebie dwie młode nauczycielki.

— Byłaś może w zeszłym roku w Normandii w Oberży w...?

Wchodzi dwóch nowych, obarczonych ciężkimi plecakami. Anglicy. Ani słowa po francusku. Ale widząc roześmiane twarze młodych kolegów, siadają przy wspólnym stole i zaczynają porozumiewać się na migi. Przy sąsiednim stole znajdują się dwie Belgijki, które znają angielski. Anglicy zachwyceni zaczynają nosować i najniespodziewaniej wyrzucają z siebie potok słów.

Obok przy małym stoliczku na 2 osoby pięciu Czechów zawzięcie wymachuje łyżkami. Dwóch młodych inżynierów z Paryża wypytuje grupę młodych robotników z Lyon'u o warunki pracy. Dyskusja na temat 40 godz. tygodnia pracy.

Na schodkach śmiech i hałas.

Niedbale rozciągnięty pod murem Marsylczyk opowiada pocieszne historyjki o Mariuszu dwom poważnym Bretończykom.

Grupka chłopców wypisuje zawzięcie na widokówkach „pozdrowienia z...".

Młodziutkie małżeństwo, które okrąża całą Francję na tandemie, daje hasło do zmywania statków. Ze śmiechem i humorem pędzą do kuchni — „tylko nie wszyscy" — krzyczy „ojciec" Oberży. W oka mgnieniu ze stołów wszystko zebrane, w kuchni zmywanie na akord.

Wieczorami najczęściej opowiadania bez końca.

Spędziłam tydzień w jednej z Oberż w południowej Francji. Każdego dnia zmieniają się goście w tym tak mało luksusowym hotelu. Co wieczór więc inna partia młodzieży — inaczej go też spędza.

Jednego wieczoru była szalona, namiętna dyskusja na temat esperanta, drugiego były tańce, trzeciego piosenki. I to nie tylko francuskie! Każda narodowość, reprezentowana w danej chwili musiała się czymś popisać. W ładny wieczór, gdy nie było się zbyt zmęczonym, młode Francuzki wyciągnęły z czeluści plecaka żelazko elektryczne i coś niemiłosiernie zgniecionego, co pod wpływem czarodziejskich dotknięć żelazka zamieniało się w milutką sukienkę do wyjścia. Pudełko z kosmetyką zostało puszczone w ruch i niktby nie poznał zmęczonej podróżniczki w shortach, która z dobrego kompana stawała się flirtującą miłą dziewczynką.

Nastrój w Oberżach! Tyle dobrych chęci i dobrej woli! Jedni dla drugich prześcigają się w koleżeństwie, najszerzej pojętym. Jeżeli są kłótnie na temat noclegu, to dlatego, że komuś słabszemu chce się ustąpić łóżka, a samemu spać na podłodze, na sienniku. Zmęczony podróżnik, któremu uśmiechałoby się wygodniejsze łóżko zamiast prymitywnego, nie godzi się w żaden sposób na tę uprzejmość. Chyba, że pada z nóg, więc już i tak śpi prawie że na stojąco.

W Marsylii przyszłam późno wieczorem do jednej z Oberż. Nie było formalnie gdzie szpilki wetknąć. Czterech chłopców, którzy z trudem zdobyli jeden du-

Dnia 18 grudnia Warszawa i Łódź głosują w wyborach samorządowych na listę zjednoczonej demokracji nr 2.

ży siennik, ustąpiło go wspaniałomyślnie zmęczonym koleżankom. Sami spali na stołach i ławkach na tarasie bez złych humorów i grymasów.

Wczesnym rankiem ruch. Śniadanie w Oberży. Płaci się za nocleg i posiłki, odbiera się legitymację ze stemplem danej Oberży i „do widzenia towarzysze"!

— Jestem pełna entuzjazmu dla Oberż — zwierzała mi się kiedyś młoda Jugosławianka, nauczycielka francuskiego w Jugosławii.

Miała słuszność. Piękne jest braterstwo, które tam istnieje, a które wyraża się m. in. naturalnym i natychmiastowym mówieniem sobie „ty".

Zdawaćby się mogło, że każdy odkrywa w sobie jakieś niewykorzystane złoża sympatii dla drugich. Padają sztuczne bariery, mające jakoby dzielić ludzi: narodowość, wyznanie, zawody.

„Auberges de la Jeunesse" — to piękna i ze wszech miar godna naśladownictwa organizacja młodzieży francuskiej.

MARIA GOLL

Polonez Polski Odrodzonej

Polska powieść powojenna, jak zresztą współczesna powieść europejska w ogóle, nie posiada równej linii rozwoju. Przeobrażenia, jakim po wielkiej katastrofie wojennej uległa psychika i życie człowieka — znalazły doskonałe odbicie w literaturze i to nie tylko w jej stronie anegdotyczno - socjalnej, ale i w stronie formalnej. „Nieznany bohater" literacki zrodził się nie tylko dzięki wyzwoleniu przez historię „czarnego luda" z rezerwatów warstw uprzywilejowanych; nieznany bohater nie jest tylko odpowiednikiem nieznanego żołnierza; zrodził się on w równej mierze z poszukiwań formalnych, jako *zjawisko wtórne* nowej treści. Literatura stanęła bowiem wobec konieczności dotrzymania kroku tętnu ogólnemu życia — błyskawicznemu, wulkanicznemu niejako.

Nowa literatura polska, szukająca nowego wyrazu dla nowej rzeczywistości, posiada swoje różne okresy wzlotów i upadków. Więc: — niepokojący początkowo rozkwit poezji przy całkowitej prawie anemii prozy, później — ściszenie poezji i dynamiczny rozwój prozy, wreszcie okres eksperymentowania i poszukiwań formalnych, które po dziś dzień, zwłaszcza w prozie, pozostawiły ślady nie zatarte.

Poszukiwania formalne prozy polskiej, zwłaszcza jej części reprezentowanej przez pisarzy młodych, zakończyły się początkowo całkowitym prawie oddaniem się reportażowi i tzw. powieści środowiskowej. Niemały wpływ posiada tu literatura niemiecka, która w literackiej formie reportażowej usiłowała dać wyraz szybkim, „telegraficznym" — jak to się mówiło — zmianom zachodzącym w życiu tych krajów. Stąd też gwałtowna nagonka na tzw. „przepsychologizowanie", wreszcie całkowity odwrót od powieści psychologicznej, hołdowanie zasadzie „surowego realizmu", bez pogłębiania charakterów postaci i zdarzeń. I mimo, że w chwili obecnej można już uważać okres ten za zamknięty i poniekąd potępiony — do niedawna jeszcze pokutował w różnych środowiskach literackich jako nieodłączny atrybut realizmu pisarskiego.

ZESPÓŁ LITERACKI „PRZEDMIEŚCIE"

Na twórczości pisarskiej Heleny Boguszewskiej (później Jerzego Kornackiego) odbija się przykładowo niejako cały okres niepokoju poszukiwań formalnych młodej, ideowej literatury polskiej. Analiza różności formalnej dorobku pisarskiego Boguszewskiej i Kornackiego daje dokładny prawie obraz zmagań — wzniesień i potknięć — które młoda powieść polska przeszła w ciągu lat ostatnich.

Założenia ideowe nowego typu powieści ujętej w ramy formalne czasom naszym odpowiadające — nie odrazu się skrystalizowały. Widzimy więc gwałtowne przejścia, skoki od klasycznej powieści psychologicznej (z akcentem na jej wyrafinowaniu) do suchego reportażu społecznego — i odwrotnie.

Zespół „Przedmieście", którego duszą była Boguszewska, zaprezentował się czytelnikowi zbiorowym tomem programowym, dającym się zaliczyć raczej do gatunku twórczości reportażowej. Były to więc próby konsekwentnego realizowania założeń ideowych. Wprawdzie już w tym pierwszym tomie zespołowym wyczuwa się usiłowania wyjścia z impasu surowego realizmu reportażowego. Usiłowania te pozostały jednak *jedynie próbami*, przeradzając się w formę „psycho-reportażowego" prześwietlania środowiska proletaryzującego się drobnomieszczaństwa *z naciskiem na „egzotyzm"* danego środowiska. To hołdowanie egzotyce, uwyraźnione zwłaszcza w twórczości młodszych pisarzy „Przedmieścia", uwarunkowane uczciwą i szczerą dążnością do „zejścia wdół", do oświetlania życia i dążeń „zapomnianych" — wyników prawdziwie twórczych nie dało, niekiedy zaś było niesłusznie interpretowane jako snobizm i obłuda artystyczna. Bo w rzeczy samej, ówczesna twórczość „Przedmieścia" nie była eposem stanowo-klasowym, były to raczej obrazki środowiskowe dobrze zaobserwowane, dalekie jednak od rozszerzań i pogłębień cechujących późniejszą twórczość założycielki „Przedmieścia".

Przezwyciężenie tego okresu nastąpiło dość szybko, — jeszcze bodaj w samym okresie istnienia zespołu, ale znów skokami. „Całe życie Sabiny" kazało się domyślać, że Boguszewska nie zatrzymała się ostatecznie na reportażu, że „rabanie chodnika" nie ustało. Ale „Sabina", jako powieść typowo psychologiczna, w której inwigilacja duszy bohatera osiąga stopień chyba najwyższy — już przeczyła założeniom ideowym „Przedmieścia". I oto dalsza twórczość przynosi nam nowe niespodzianki. Już wraz z Kornackim wydaje Boguszewska powieści („Jadą wozy z cegłą", „Wisła"), żeby tak powiedzieć — klasycznie reportażowe, i znów z wyraźnym faworyzowaniem egzotyzmu opisanego środowiska. Zdawałoby się więc, że pisarze zawrócili, i że ostatecznie wybrali reportaż jako jedną formę swojej twórczości. Ale pisarze zdawali sobie dokładnie sprawę z niedociągnięć i niepełności artystycznej „Wisły" i „Cegieł". Należało więc na nowo — ani przez chwilę nie tracąc nic z wysokości lotu ideowego, nie zapominając o własnej maksymie, że myśląc o „tworzeniu dziejów", trzeba „tworzyć dzieła talentu" — szukać, eksperymen-

tować, by wreszcie wypracować sobie taką postawę formalno-ideową, która łączyłaby w sobie „idealne“ bezsprzecznie dodatnie momenty reportażu (autentyzm, dokładność obserwacji) z nieprzemijającymi wartościami powieści psychologicznej. I tu stał się cud. Okazało się bowiem że można jednocześnie chwytać życie in flagranti i jednocześnie uzyskać dystans nieodzowny dla artystycznej obiektywizacji przedmiotu. I tak narodził się „Polonez“.

„NIEPODLEGŁOŚCIOWCY“ VIVUNT

Życie współczesnej Polski w emanacji literackiej płynie sobie prawie beztrosko. Rozlegnie się od czasu do czasu grzmot ostrzegawczy, oślepi nas niekiedy błyskawica świadomości grozy, ale na ogół jest zacisznie i spokojnie. Może i warunki „obiektywne“ nie pozwalają pisarzowi na artystyczną przeróbkę dnia powszedniego, sądzę jednak, że przyczyny podane na początku są dominujące.

Wszystkie problemy „chcenia“ i wątpliwości nurtujące w starzejącym się pokoleniu niepodległościowym: tęsknoty, walka, dążenia przejawiane przez rzesze robotnicze i chłopskie: historyczna synchronizacja dążeń (na pewnym odcinku) grupy niepodległościowej z walką klasy przyszłości; odwieczny „Ostdrang“ niedocenionego „przyjaciela“ zachodniego... Cóż my o tym wszystkim wiemy? Owszem, gdy policja państwowa nakryje jakiś sztubacki związek hitlerowski — niepoważne „Deutsches Heim“ — prasa coś o tym napisze. Ale nikt dotychczas nie prześwietlił, nikt nie przeniknął podstępnej, upartej roboty przygotowawczej, do ziszczenia marzeń o „Führerze am Weichselstrand“. Jeśli „Tropy smętka“ Wańkowicza przekonały nas tragicznymi, ale suchymi faktami, „Polonez“ ukazuje nam wnętrze tej kuźni, w której prężne ramiona zgermanizowanych Polaków i shitleryzowanych Niemców kują „Deutsches Heim“ na polskiej ziemi pomorskiej...

Boguszewska i Kornacki postawili sobie w swoim cyklu powieściowym zadanie niełatwe. Chodzi o artystyczne zanalizowanie, o roentgenowskie niejako prześwietlenie naszej bólem nabrzmiałej rzeczywistości, na jej odcinkach najbardziej pisarza fascynujących, a jednocześnie najbardziej eksponowanych.

W „Polonezie“ pisarze znacznie rozszerzyli swój horyzont zainteresowań społecznych. Nie chodzi już o „zgryzienie“ kameralnych tragedii umierającej Sabiny, ani nawet o wydobycie i ukazanie patosu walki i życia szarych ludzi Wisły i przedmieść. Tu idzie o Polskę! — o jej tradycje wczorajsza, walkę dzisiejszą i perspektywy na przyszłość. I wtedy musimy sobie przecież zadać bolesne pytanie: — Czemuż to „na swoje własne niebo Polska jeszcze nie wzeszła“?... Uświadomienie sobie tragizmu sytuacji przez pisarza i—co ważniejsze — chęć i odwaga ukazania życia polskiego, trwającego wciąż jeszcze w rytmie poloneza — „w lewo ukłon, w prawo ukłon“ — od strony prawdziwej — jest już samo w sobie nielada zdobyczą. Zadanie to wielkie, bardzo wielkie. Trzeba sobie jeszcze uzmysłowić, że dotychczas prócz Kadena (który przecież „zaciął się“ na pewnej przełomowej dacie historycznej) nikt w literaturze polskiej nie pokusił się o odmalowanie obrazu tej miary.

Ostatecznie kilka lat życia zbiorowego Polski uświadomiły nas w dwóch podstawowych zagadnieniach. Zdajemy sobie już wszyscy sprawę z faktu, że nie cała inteligencja zadawala się „ciepłą starością“ na stanowiskach prezesów różnych „Tebedesów“ czy starostów miast prowincjonalnych. Część bardziej — powiedzmy — uczuciowa tej grupy zdążyła już sobie uświadomić rzecz pierwszorzędną, mianowicie, że na niebo polskie nie wzeszła „jasna konstelacja“ i że to wróży ...burzę. Fakt drugi, — dążenia wyzwoleńcze najszerszych mas ludowych okazały się w najogólniejszych zarysach zbieżnymi z dążeniami wymienionej grupy. Dwa te fakty o ciężarze gatunkowym dla Polski pierwszorzędnym, nie znalazły jeszcze swego naturalnego rozwiązania. Inteligencja polska będzie musiała sobie dopiero uświadomić, że dopóty jej ideologia i cele pozostaną wartością platoniczną, dopóki oba wielkie prądy społeczne polskie nie utorują sobie drogi wspólnej, dopóki nie znajdą wspólnego koryta.

Pierwszy tom „Poloneza“ — „Nous, Parisiens“ ukazując psychologiczną tragedię ideową niedobitków „szklanodomowej“ niepodległości, uświadamia nas jednocześnie, że walka „chciana“ tych ludzi jest zgóry na zagładę skazana. Warstwa ta nie stanowi bowiem siły społecznej zdolnej nadać historii określony kierunek i bieg. Wspaniały powieściopisarz Cyprian Hrykiewicz, syn wielkiego Komunarda Witalisa, mimo iż jego nagłe przejrzenie społeczne zaprowadzi go do rozmyślań bardzo radykalnych — nie zrozumie jednak przyczyn istnienia przepaści między Hrykiewiczowskim, szlacheckim sposobem myślenia i odczuwania, a odczuwaniem i rozumowaniem Piotra i Lei Aktylów. W analogicznej sytuacji znajdzie się pyszna Dr. Groer-Hrykiewiczówna, szczera działaczka społeczna, tak samo nie będzie rozumiał nic pułkownik Szarag i wielu innych przedstawicieli tej warstwy. Indolencja polityczna tak charakterystyczna dla inteligencji, znajdzie swoje doskonałe upostaciowanie w powieści, w Tomaszu Widackim, b. profesorze, b. pośle, b. prezesie, majorze w st. spoczynku, wczorajszym społeczniku i trybunie ludowym.

Dziś możemy już sobie powiedzieć: Polskie ideowe pokolenie niepodległościowe utraciwszy bezpowrotnie swój „złoty róg“ daremnie usiłuje go znaleźć w „Tebedesach“, czy w „Metodach Obserwacji Środowiska“ czym zajmuje się Widacki. I właśnie to samooszukiwanie się, to rozładowywanie nagromadzonej od lat potencjonalnej energii chcenia — nie pozwala im dojrzeć „ciemnych konstelacji“ na niebie Polski...

Rzecz charakterystyczna. — Piotr Aktyl, „przedstawiciel“, niejako, ludu — prędzej uświadomił sobie prawdę dziejową, niż uczony Widacki. Beznadziejna walka stoczona przez Piotra z b. posłem w celu przyciągnięcia go do mającego powstać „Związku społeczników“ posiada w sobie coś z patosu szlachetnych dysput pierwszych chrześcijan... Oto jeden nurt powieści.

PIĘKNY JEST WISŁY BRZEG

Tak toczy się życie Polski w rytmie upojnego poloneza, niezdecydowanie i drżąco — w lewo ukłon, w prawo ukłon — a tuż pod bokiem nieskrystalizowanej ideowości — narasta, potężnieje — wróg. Przyczajony, wyrachowany, bez skrupułów i bez sentymentu — „Deutsches Heim“!

I znów — któż ma być zaporą przed zalewem hitleryzmu, przed jego, jak to się teraz nazywa — „prężnością narodową“ w Polsce? Chyba nie b. poseł Widacki, dziwaczejący potrochu i „zajmujący się“ rysowaniem włóczęgów; chyba nie zneurastenizowana, zahukana i tragiczna wdowa po nauczycielu Niemcu — Mańcia z Bisiewiczów-Kruegerowa, wegetująca dzięki trzyma-

niu na stancji uczniów Darniowskiego gimnazjum niemieckiego; chyba nie zamaskowany hitlerowiec mecenas Wagner, ani Niemka Liselotte, wdowa po Polaku Trzpilu... Może więc starosta Upojeński i przodownik Dmytruk?

Starosta Upojeński odkryje dzięki przemyślnej i „perspektywistycznej" grze hitlerowców Wagnera i Marchwitza — sztubackie kółko hitlerowskie. Chłopcy ze stancji Mańci nie będą już śpiewać jawnie „Führer am Weichselstrand"... Ale któż przeniknie chytrą grę Wagnerów radzących Niemcom w Polsce „klaskać przez lufcik w ręce i być „Polakami", by do jesieni nie mieć wrogów"...; któż zdaje sobie sprawę z tego, że dla chytrego pastora Poldingera Polska jest już jakby jakąś Angolą kolonialną... Dla młodego i naiwnego hitlerowca Ottona Tschpila, Warszawa będzie się „napewno" wywodziła od niemieckiego słowa „Waren-schau", ale dla starego Reinholda Wenzla istotne jest coś innego: — *Basis*. Na tej Basis oprze się prężność hitlerowców w Polsce, na tej Basis stworzą oni w Polsce proniemiecką partię złożoną... „z najlepszych patriotów polskich".

„Ein Wille, ein Blut, ein Leben" i „Nichts für uns, alles für unser Volk". Jakże to wszystko znane z niedawnej bodaj przeszłości... Prapolska Wisła kończy swój bieg na Pomorzu, a tam nad jej polskimi brzegami nie słyszymy już piosenki „piękny jest Wisły brzeg", ale — „Führer am Weichselstrand. Deutschland, Mutterland, wann holst du uns zurück?"...

A naród polski polonezem ukołysany nie może wyjść z impasu. Jedyny opór i niechęć do niemieckości wykaże (w całej powieści) właściwie tylko tępa służąca Stanisława. Czyżby to symbol (echa „Placówki" — Prusa) intuicyjnego odporu ludu przed wynaradawianiem? Może to przykład niezbyt szczęśliwie dobrany. Ale konfrontacja historyczna warstw tzw. górnych z postawą ludu dużo daje do myślenia... Przecież te wszystkie rody, a właściwie niedobitki Hrykiewiczów, Bisiewiczów, Upojeńskich, Storogów itd. itp. — nie posiadają ani siły ani *chęci przeciwstawienia* się krytycznemu stanowi rzeczy. Niemasz więc w Polsce siły innej, któraby potrafiła wziąć na swoje barki historyczną misję? Lud polski — chłop i robotnik — te najmniej „narodowo" deklamujące, najmniej demonstracyjnie swój patriotyzm na kupno wystawiające warstwy — są jedyną siłą pewną i niezłomną!

Powieść Boguszewskiej i Kornackiego zawiera w sobie wszystkie elementy twórczości na modłę epicką zakrojonego dzieła. Pisarze ci ujęli sprawy jakże wielkie i dla Polski istotne, nie od strony „rzeczy", ale człowieka i idei. Po przez człowieka do świata i rzeczy go otaczających. Stąd w wielkiej tej powieści, mimo narosłego, samo przez się zrozumiałego, patosu — tyle prawdziwie ludzkiej, codziennej, człowieczej prawdy. Pisarze ani na chwilę nie zapomnieli o prawdzie istnienia równoległego do spraw wielkich — „życia kameralnego" jednostek, o tym, że społecznica Dr Groer-Hrykiewiczówna może się także zastanawiać nad... suknią na lato: — „może granatowa z białym, może czarna w wielki kolorowy deseń?"..., że każdy z bohaterów wielki w swym otoczeniu posiada też swoje własne zakamarki ludzkiej małostkowości i śmieszności. Stąd ta nawskroś oryginalna w konstrukcji i koncepcji powieść przepojona jest jakby jakąś materialną humanitarnością i rozumnością — rozumem człowieka dojrzałego, mądrego, który potrafi zrozumieć i przebaczyć.

„Polonez" jest wielkim osiągnięciem artystycznym i ideowym Boguszewskiej i Kornackiego. Powieść wypełnia ogromną lukę powstałą w literaturze polskiej po śmierci Żeromskiego i jest nawiązaniem do tradycji szlachetnego gatunku piśmiennictwa ideowego — polskiego romantyzmu.

JAN KAROL WENDE.

Nowy polski „wstęp do filozofii"

Dr Joachim Metallmann, docent Uniw. Jagiell., prof. Państw. Pedagogium w Krakowie: Wprowadzenie do zagadnień filozoficznych. Część I.

*

W swojej książce: „Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk" wymienia prof. Kotarbiński kilka znaczeń terminu „filozofia", który do jednoznacznych bynajmniej — o! bynajmniej — nie należy. — Oto można, po pierwsze, nazywać filozofią po prostu to wszystko co w rozwoju dziejowym tym słowem kiedykolwiek nazywano; po drugie rozumie się przez filozofię„ dociekanie, które prowadzi lub raczej powinno prowadzić do poglądu na świat i do mądrości życiowej; po trzecie — mogą to być „roztrząsania przednaukowe, zmierzające do... tez elementarnych, któreby stanowiły podstawę nauki"; po czwarte — filozofia przybiera postać **nauki o nauce,** analizuje i krytykuje pojęcia, tezy, systemy, metody wszystkich zarazem lub poszczególnych nauk itd. Jeśli te różne filozofie mają ze sobą coś wspólnego oprócz nazwy, to przecież nie tak wiele, jakby można było zrazu przypuszczać.

Nowe dzieło prof. Metallmanna idzie po linii czwartego sposobu pojmowania filozofii, podobnie jak książka prof. Kotarbińskiego. Tematy objęte częścią I „Wprowadzenia" stanowią, gdyby brać rzecz w aspekcie płytko - buchalteryjnym, cztery piąte tematów, o których traktują „Elementy". Atoli liczby stronic różnią się tak dalece [150 (Metallmann) — 470 (Kotarbiński)], że już stąd wnioskujemy, iż o identyczności „podejścia" do rzeczy nie może być mowy. U prof. Kotarbińskiego jest ono bardziej wykładowe i systematyczne, bo książka ma służyć jako podręcznik do egzaminu uniwersyteckiego. Częściowo ten cel stawia sobie wprawdzie i prof. Metallmann, zamierzając dać podręcznik zarazem i dla wyższych szkół pedagogicznych. Ale, nie wdając się w ewentualne spory dydaktyczne, przejdźmy do porządku nad tą sprawą, boć egzaminy nie stanowią, na szczęście, problematu dręczącego Czytelnika „Epoki", mającego zupełnie inne zmartwienia o charakterze już to osobistym, już ogólnym.

Drugi jednak cel omawianego dzieła, to zastąpić niemieckie „Wstępy do filozofii", posiadające charakter ogólnokształcący i teoretyczny (jak Windelbanda, Külpego, Messera), ukazać czytelnikowi polskiemu rozporządzającemu średnim wykształceniem **problematykę** filozoficzną, „jej doniosły sens i swoisty urok", przyczy-

nić się do zorganizowania **„pogotowia krytycznego“** w obronie „przed zamarłymi doktrynami, przed niewczesnymi autorytetami“. „Autor ośmiela się wierzyć — czytamy dalej w przedmowie — że książka tak pojęta może i powinna, choćby w skromnym zakresie, wzmóc tempo i napięcie **walki z kołtuństwem**“, z ciasnotą horyzontu, obojętnością na przemiany, biernością, nietolerancją, tępym dogmatyzmem, idącym w parze z hiperkrytycyzmem wobec innych stanowisk, nieodpornością na sugestie.

To nas cieszy i interesuje. Autor zaznacza, że jedyną polską książką noszącą tytuł „Wstęp do filozofii“ była dotąd mała broszurka Stanisława Brzozowskiego. O ile nam wiadomo, istnieją jeszcze przekłady „Wstępów“ Wundta i Jerusalema oraz oryginalnie polski — całkowicie zresztą przestarzały — „Wstęp krytyczny“ Struvego. Nie ma jednak powodu trzymać się w klasyfikacji dosłownego brzmienia tytułu — wtedy bowiem i samego dzieła prof. Matellmanna nie moglibyśmy zaliczyć do „Wstępów“; jeżeli zaś mówić raczej o całym tym rodzaju literackim, jaki stanowią wstępy do filozofii, to też nie będzie tego wiele, ale musimy chyba (poza znajdującym się dopiero w druku przekładem „Zarysu filozofii“ Russella) uważać i „Elementy“ Kotarbińskiego za należące do tej kategorii, jakkolwiek sam autor nie zajął w tej sprawie stanowiska.

Skoro cechą tak często przypisywaną filozofom jest „głębokość“, gruntowność, pedantyzm, to powiedzieć trzeba przede wszystkim, że dzieło Metallmanna ucierpiało właśnie na tym, że przy swym bogactwie tematycznym jest nadmiernie zwięzłe, rzec można: ściśnięte. Pewne rzeczy, przynajmniej w dziedzinie filozofii, jeśli mają być zrozumiałe, mogą być powiedziane b. krótko tylko ludziom dojrzałym, ale nie „wstępniakom“. Bez nastroju dyskusji i sokratesowego gadulstwa, bez wszechstronności oświetleń — filozofia traci jeden ze swych walorów. Szczęśliwymi chwytami dydaktycznymi udało się autorowi uzyskać przejrzystość i jasność w wielu przypadkach, ale jest sporo miejsc, co do których nie sądzimy, żeby czytelnik mógł bez dalszych komentarzy odnieść należytą korzyść. Może ten brak wynika częściowo z podwójności celu, który autor chce osiągnąć.

Nie tutaj miejsce na wytykanie pewnych przeoczeń czy niedokładności. Wyróżnić zaś warto szereg interesująco i mądrze napisanych paragrafów, jak np. o wyjaśnieniu i opisie. Podkreślić trzeba nowoczesną erudycję autora, pozwalającą mu na ogół na podanie do konsumcji tego i tylko tego, co prawdziwie aktualne we współczesnej filozofii, lub ściślej — w opinii współczesnych filozofów.

Ciekawie wypadnie porównanie z książeczką Brzozowskiego, który był błyskotliwym stylistą i również — w swoistym jakimś sensie — erudytą. W chwili pisania „Wstępu“ pojmował on filozofię raczej w drugim z pośród znaczeń wyliczonych na początku. Odnosił się niechętnie do wstępów o charakterze przeglądowym czy historycznym. „Zapoznawanie się — pisał — z próbami rozwiązania zagadnień filozoficznych przed przeżyciem i uświadomieniem sobie tych zagadnień jako osobistych... jest raczej szkodliwe, niż pożyteczne“. Możnaby się jeszcze o to spierać, w każdym razie Brzozowski szermuje właśnie wielką liczbą nazwisk i terminów, wobec czego, (jak słusznie twierdzi prof. Metallmann) „zakłada już b. znaczną kulturę filozoficzną“. Na 50 kartkach formatu małej 16-ki „załatwia“ dziesiątki niebotycznych zagadnień, ale nie jest to wcale tym razem wynik przesadnej zwięzłości, lecz — lekkomyślności. Zasadniczo rzecz obraca się zresztą w okół zagadnienia istotnie najbardziej zasadniczego: co pierwsze, pierwotne, decydujące: czy przyroda, materia, przedmiot, czy też duch, człowiek, idea, podmiot? W dialogu, który się toczy (forma ujęcia zresztą chwalebna), Ryszard, będący jakimś mieszańcem duchowym mechanisty, marksisty i empiriokrytycysty, pobity zostaje na głowę przez Emanuela, reprezentującego pogląd, że „przyroda jest projekcją naszego punktu widzenia“, że „świat jest wynikiem opracowania rzeczywistości przez myśl“, że „człowiek przede wszystko(!) i nade wszystko jest duchem“. Inny uczestnik tej dyskusji stwierdza, że „naród każdy jest dla siebie organem prawdy“, wreszcie na zakończenie odzywają się akcenty mistyczno - religijne. Nie nazwalibyśmy tego „wstępem do...“ — raczej „wyjściem z filozofii“...

Prof. Metallmann, jak powiedzieliśmy, również rozczytuje się w modnej literaturze filozoficznej, ale prof. Metallmann nie „przeżywa“, jeno najzwyczajniej **żyje** w świecie nauki — niedoskonałym oczywiście — i nie zamierza, jak dotychczas, opuścić go „w nieznanym kierunku“... Rzecz pewna zresztą, że nie podobna napisać wstępu do filozofii bez ujawnienia, choćby mimowoli, swojego stanowiska filozoficznego. Co więcej, nie podobna napisać o tym neutralnej recenzji, choćby się szczerze sądziło, że się taką właśnie pisze. Czytelnik więc zechce wybaczyć, że powiemy — z braku miejsca gołosłownie, ale otwarcie: Prof. Metallmann nie odcina się dostatecznie i konsekwentnie od... Emanuelizmu, pomimo, że jest człowiekiem nauki. I pomimo własnego wkładu, jaki przynosi w ujęciu niektórych zagadnień, możnaby mu może wypomnieć eklektyzm (lub chwalić za próbę łączenia rozmaitych nowych tendencji filozoficznych z neopozytywizmem na czele).

Być może, że zwykła dobra historia nauk wraz z historią filozofii nie są jeszcze wystarczającym wstępem do filozofii, ale — naszym zdaniem — dobry wstęp do filozofii musi być ujęty w pewnym stopniu historycznie i **dynamicznie**, zwłaszcza jeśli zadaniem jego ma być danie oręża do „walki z kołtuństwem“. Żałujmy więc, że nie tylko w tekście „Wprowadzenia“, ale nawet we „wskazówkach bibliograficznych“ autor tak mało pamiętał np. o pismach klasyków, a raczej zapewne pamiętał, będąc jednak w tej kwestii odmiennego zdania.

Ponieważ nie wyszła jeszcze II część dzieła i nie wiadomo dokładnie, co będzie zawierała, niektóre nasze sądy są tu może przedwczesne; przecież czytelnicy mogą już rozpocząć lekturę części I, nie czekając na ukazanie się ciągu dalszego — więc jest i dla nas pewne

---

Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącymi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcji i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważył by się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleką, na widok publiczny ukażą i ku czci oraz naśladowaniu podadzą.

STEFAN ŻEROMSKI

usprawiedliwienie. W części, która ujrzała już światło dzienne, autor omawia sprawę języka potocznego i naukowego, wprowadza pojęcia logiczne, opisuje, analizuje i porównywa metody właściwe rozmaitym rodzajom nauk. Na końcu autor stwierdza, że usiłował zbliżyć czytelnika do nauki od dwóch stron: „ukazać mu pewne jej charakterystyczne wiązania, a więc zarys **jej struktury**, po części zaś zwrócić uwagę na ważniejsze **jej czynności...** Z tych punktów widzenia... organizm nauki przedstawił się nam jako układ spójny zdań wysłowionych w pewnym szczególnym **języku...**, zarazem wszakże próbowaliśmy spojrzeć na ustrój nauki jako na arsenał **środków i system reguł...** Usiłowaliśmy więc ukazać naukę z jednej strony jakby gotową, zakrzepłą, statyczną, z drugiej natomiast — zobaczyć ją w ruchu... Pozostają jednak pewne punkty widzenia i pytania, których stosowanie i rozbiór celowo odkładamy do rozdziałów następnych". Otóż właśnie. Mowa o zagadnieniach „psychologicznej i socjologicznej natury": nauka, jako dzieło zbiorowe, jako funkcja środowiska, świat wartości, bez którego „nauka — to twór sztucznie odczłowieczony, jak maszyna, którą możemy pojąć we wszystkich szczegółach i zazębieniach części składowych, we wszystkich tych części obrotach i przesunięciach, nie pojmując zgoła jej sensu jako całości, nie rozumiejąc człowieka, który ją stworzył". I słusznie zauważa prof. Metallmann: czy kto twierdzi, że nauka jest tylko narzędziem do rozmaitych celów, czy też, że ma sens sama w sobie, zawsze ma obowiązek te cele i sensy badać i wyjaśniać.

Domyślamy się zatem, że stosunek wzajemny nauki i **spraw pozanaukowych** będzie stanowił przedmiot II części dzieła. W przeciętnych „wstępach do filozofii" nie znajdujemy na ten temat nic wartościowego. Należy życzyć prof. Metallmannowi, żeby w tej trudniejszej części nie obniżył lotu. To nam dopiero pozwoli zobaczyć istotnie naukę w ruchu. Wtedy bylibyśmy może gotowi niektóre sądy wyżej przez nas wypowiedziane sprostować, choć sądzimy, że raczej wtedy właśnie wyjdą na powierzchnię wszystkie różnice zdań, do których tu tylko mogliśmy (w sposób niezbyt poważny) robić aluzje.

Niezależnie od tego wydaje nam się, że myślący czytelnik, nawet nie gustujący w tematach „czysto spekulacyjnych", znajdzie już w pierwszym tomiku zagadnienia naukowe jakże niespodziewanie wdrążone w „życie", w jego najbardziej jaskrawych i ostrych przejawach. Najważniejszym zadaniem „wstępu do filozofii" jest skojarzenie trwałe w umyśle czytelnika tych biegunowo odległych sfer, nie zaś stworzenie „przedziału pomiędzy myśleniem filozoficznym, a codziennymi, zwykłymi... stanowiskami i drogami myśli", jak tego byłby sobie życzył Brzozowski.

A. L.

Staroświeckie tarany przed Z. N. P.

Ks. Zygmunt Choromański oddawna jest bacznym obserwatorem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Nie spuszcza organizacji ze swego surowego oka i co pewien czas, zbolały i zgorszony, głosi na całą Polskę, że w Związku dzieje się coraz gorzej, że jego działalność zawodowa, jego ideologia, zagraża coraz bardziej już nie tylko „życiu społecznemu i kulturalnemu w Polsce, ale nawet interesom Kościoła, Narodu i Państwa". W tym sensie niedawno napisał artykuł w „Kurierze Warszawskim".

Cóż więc takiego się stało, że ksiądz Choromański znowu, w spokojnych pozornie a układnych słowach oskarża związkowe nauczycielstwo o świadomą zbrodnię przeciwko Państwu?

Oto w najwyższym stopniu nie podoba mu się, że na niedawnym zjeździe nauczycielskim wystąpili przedstawiciele innych związków zawodowych, ogarniających szerokie rzesze pracowników umysłowych i fizycznych. Wyraźnie nie podoba mu się, że organizacja nauczycielska chce w ten sposób wiązać się z innymi organizacjami pracowniczymi, że nie chce być odosobniona i poczuwa się do łączności z całym światem pracy. Chociaż na kongresie nie było żadnego reprezentanta jakiejkolwiek partii politycznej, a przybyli jedynie przedstawiciele organizacji czysto zawodowych, aby we wspólnej wymianie myśli ustalić jakiś jeden plan działania w akcji zawodowej, mającej na celu poprawienie warunków bytu pracowników, udostępnienie im jak najszerszego udziału w życiu kulturalno-oświatowym kraju, — jednak to, że nauczyciel znalazł się w tej samej grupie z urzędnikiem i robotnikiem, ksiądz Choromański nazywa odrazu „frontem ludowym".

Dążenia ideowe Z. N. P. do upowszechnienia oświaty, do stworzenia w całym kraju gęstej sieci szkolnictwa wysoko zorganizowanego, do podniesienia niesłychanie obecnie niskiej materialnie pozycji nauczyciela, przyjmuje ks. Choromański ironicznymi wykrzyknikami. Dążenie Związku do spopularyzowania kultury, rozprowadzenia jej w najszersze masy chłopskie i robotnicze, a więc zdemokratyzowania kultury, przyjmuje ksiądz mocno podejrzliwie, kręci z niedowierzaniem głową i „masońsko-bolszewickie" słowo „demokratyzacja" opatruje sarkastycznym cudzysłowem. Uważa, że to tylko na pozór jest demokracja, w gruncie rzeczy pod tym wszystkim kryje się — zdaniem księdza — jakaś zbrodnia (której nie może nazwać mimo wszystkich dobrych chęci) przeciw Państwu. Gdyby jednak ksiądz Choromański przejrzał ze zwykłą, ludzką ufnością broszury wydawane przez Związek, mówiące o jego ideologii, gdyby zapomniał na chwilę, że jest rzecznikiem sfer nieprzejednanego konserwatyzmu społecznego, będącego od wieków zaciekłym wrogiem niesienia w lud oświaty — umiałby przyznać, w odruchu szczerości, że Związek jest organizacją zdrową, patriotyczną, żarliwie przywiązaną do Państwa, chcącą tylko wzmocnienia Państwa po przez przeprowadzenie najniezbędniejszych reform społecznych, po przez podniesienie powszechnej zamożności kraju, wzmożenie jego życia kulturalnego, podwyższenie poziomu ogólnej moralności, którą obniża tylko nędza i ciemnota.

Ale cóż, kiedy ksiądz Choromański, przemawiający w imieniu „opinii publicznej" — na dźwięk słów: „sprawiedliwość społeczna", „reformy społeczne", wietrzy odrazu komunistę, masona, bezbożnika.

Ksiądz Choromański nie jest odosobniony. Są w Polsce sfery i koła, które gdy ktoś poczyna mówić o konieczności przeprowadzenia jakichkolwiek reform społecznych, popadają wnet w nieprzytomną wściekłość.

Ksiądz Choromański ma w najwyższym stopniu za złe Związkowi, że broni się przeciwko pewnym grupom i kołom, które Związek nazywa reakcyjnymi i wstecznymi, a które zdawien dawna są zdecydowanymi wrogami stanu nauczycielskiego, jako też nieprzyjaciółmi idei powszechnej oświaty ludowej. Nauczyciel w długim doświadczeniu historycznym zdobył świadomość, jakie to warstwy stale występują przeciwko niemu i jego posłannictwu społecznemu. Należy w tym miejscu przypomnieć sobie, znane w dziejach kultury, cynicznie szczere deklarowanie się klas możnych w kwestii powszechności nauczania i kwalifikacji zawodu nauczycielskiego.

Oto Prezes Akademii Nauk w Londynie, a jednocześnie przedstawiciel ziemiaństwa, wygłosił w roku 1807 następujące przemówienie: „Jakkolwiek ponętny może być projekt oświaty dla warstw pracujących ubogiej ludności, w istocie jest on szkodliwy dla ich moralności i szczęścia i nauczyłby tych ludzi pogardzać swym losem, zamiast uczynić z nich dobrych wyrobników w rolnictwie i innych zajęciach, do których są przeznaczeni na skutek swej kondycji społecznej i zamiast wpajać im posłuszeństwo — uczyłby ich zmowy i krnąbrności, jak to już okazało się w okolicach przemysłowych; pozwoliłby im czytać buntownicze pamflety, niemoralne książki i publikacje przeciw religii chrześcijańskiej, pozbawiłby je szacunku dla sfer wyższych i po paru latach byłby rezultat taki, że władza ustawodawcza widziałaby się zmuszona zastosować wobec nich silną rękę i pomóc urzędnikom wykonawczym, wprowadzającym prawa o wiele bardziej surowe niż te, które są teraz w mocy".

W kilkadziesiąt lat później w galicyjskim sejmie szlachta polska z trybuny ogłasza, że „przymus szkolny to potworność", „że gwałt dzieje się prawu naturalnemu rodziców przez wprowadzenie obowiązku szkolnego", „że nauka przewraca chłopom w głowach".

Nieco później hr. Stadnicki woła na cały kraj poddany woli zaborców: „Wolimy zakładać skromne ochronki pod kierownictwem prostych sióstr służebniczek, niż mieć u siebie szkoły ludowe pospolite, obawiając się trucizny, które one w dzieciach zaszczepiają". Zaś Paweł Popiel, lojalista wobec zaborców, szef ugodowców i wódz konserwatystów, oświadcza apodyktycznie: „Nauki przyrodnicze i literatura podkopują spokój ludzkości, wydzierają łaskę Boga i żywot wieczny. Nauczyciel duchowny lepszy będzie niż świecki. W seminariach nauczycielskich winni mniej uczyć. Kandydat z miernym uzdolnieniem będzie najlepszym nauczycielem". „Szkoła winna być wyznaniowa i ograniczona w nauce".

Po dziś dzień istnieją w Polsce koła, niestety tak się dziwnie składa, umiejscowione właśnie w sferach majątkowego przywileju, które po staremu w nauczycielu chciałyby widzieć nieporadnego kopciuszka, wystraszonego, pokornego, uprawiającego sobie swoją niebardzo potrzebną robótkę pod nadzorem dworu i plebanii, hołdujących wciąż jeszcze zaśniedziałym poglądom na oświatę i wychowanie ludu. Te koła Z.N.P. nazywa reakcyjnymi, wstecznymi i właśnie, przejęty najwyższą troską o całość i wielkość Rzeczypospolitej, przeciwstawia się z całej duszy wszelkim próbom uzyskania przez nie wpływu na politykę oświatową w Państwie. Księdzu Choromańskiemu wcale się to nie podoba, zirytował się, chociaż udaje spokój i czym prędzej zakrzyczeć chce całą pozytywną, twórczą akcję Związku słowami: front ludowy, komunizm, bezbożnictwo, zdrada narodu i państwa. Stara się przy tym przekonać słuchacza, że przemawia jego ustami „szeroka opinia społeczna".

Jakąż to szeroką opinię reprezentuje ksiądz Choromański, jeżeli ideologię oświatowo-kulturalną Z.N.P. poparły swoją solidarną postawą, co sam przyznaje, prawie wszystkie związki pracowników umysłowych i fizycznych — słowem cały świat pracy?!

Reprezentuje jedynie żałosne już, zmurszałe i głuche pnie schyłkowego świata.

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

Książki

Margaret Mitchell: „Przeminęło z wiatrem". Powieść. Tom. I, str. 730. Przekład *Celiny Wieniewskiej.* Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1939.

Dzieje wojny domowej między przemysłową Północą a rolniczym Południem o wyzwolenie — jak to wtedy wyglądało — Murzynów, są tematem powieści Margaret Mitchell. Mimo doskonałego wczucia się autorki w atmosferę nieszczęść wojennych — nie jest jednak „Przeminęło z wiatrem" powieścią „wojenną" w powszechnym tego słowa rozumieniu. Nie ma w powieści Mitchell efektownych opisów bojów stoczonych między armiami prezydenta Lincolna i generała Lee. Autorka postawiła sobie tu za zadanie zobrazowanie przemian psychicznych i gospodarczych, jakie wojna ta ze sobą dla Ameryki przyniosła. Osiągnięcie to można śmiało nazwać „nowym odkryciem Ameryki".

Scarlett O'Hara, centralna postać powieści, urodzona i wyrosła w środowisku zamożnych i snobliwych farmerów płd. amerykańskich — kumuluje w sobie bardzo bogate i sprzeczne cechy osobowości południowej. Po ojcu, twardym i zawadiackim Irlandczyku, który w kilkanaście zaledwie lat po ucieczce z ojczyzny i osiedleniu się na wolnym lądzie amerykańskim zdołał zdobyć duży majątek ziemski, — po matce, pochodzącej ze starej, od dawna osiadłej arystokratycznej rodziny francuskiej — odziedziczyła Scarlett rysy charakteru predestynujące ją z jednej strony na upartą i twardą chłopkę, z drugiej — na „damę" niosącą najbardziej opaczny bagaż kulturalno-obyczajowy. Pogarda dla

wszelkiej „książkowej“ wiedzy, umiłowanie czysto zewnętrznego blichtru groteskowo pojętej „dżentelmenerii“, fałszywa pruderia przy jednoczesnym wyzywającym zachowaniu się wobec otoczenia — oto cechy charakterystyczne dla tej dziewczyny Południa...

W te, wzajemnie niwelujące się, właściwości uzbrojona — wejdzie Scarlett w życie, by już w szesnastym roku swego nieświadomego bytowania być wystawioną na ciężkie próby losu uwarunkowane niszczącą wszystko wojną i tragedią osobistą.

Zdawałoby się więc, że Scarlett, nieodrodne dziecię anormalnego naówczas Południa, niedoświadczona i nieprzygotowana do trudnego życia — pochłonięta zostanie przez burzliwe fale nieszczęsnej wojny. Ale motywem przewodnim powieści — jak mówi autorka — „jest przetrwanie“. I ta właśnie tajemnicza jakby witalność tkwiąca w szesnastoletniej matce, wdowie po niekochanym mężu sprawi, że Scarlett „przetrwa“. utratę niekochanych osób, pożogi, zniszczenie, zubożenie i głód. Niepoważna i leniwa „flirciara“ Scarlett, na skinienie której setki Murzynów prześcigało się w usłużności, Scarlett, którą „rodzice na rękach nosili“ — ona stanie się w potrzebie opoką rodziny, jedynym człowiekiem którego nie zmiótł wiatr, który nie przeminął.

Dokoła „osi“ przeżyć Scarlett O'Hara toczą się dzieje południowych Stanów Ameryki, tych które „z wiatrem przeminęły“. Autorka, przypuszczalnie niezamierzenie, ukazała nam życie, agonię i wreszcie śmierć pewnego okresu historyczno-gospodarczego, oraz obumieranie jego przodującej klasy. Powieść nie prześwietla wprawdzie mechanizmu amerykańskiej wojny domowej. Przyczyny istotne humanitaryzmu przemysłowej Północy walczącej z rolniczym Południem o wyzwolenie Murzynów celem ...uzyskania tanich rąk roboczych dla późniejszego New-Yorku, Pittsburga czy Detroit — nie zostały w książce wyjaśnione. Czytelnik jest tu zdany na własną znajomość przedmiotu. Ale jednocześnie autorka daje nam do zrozumienia iż zdaje sobie sprawę z niedorzeczności sądu wspaniałego cynika i paskarza Buttlera, który twierdzi, że „zawsze będą wojny, ponieważ je mężczyźni kochają“... Przeczą temu realistyczne opisy pełnych zgrozy i nieludzkich przeżyć bohaterskich żołnierzy Południa i zwątpienie wkradające się stopniowo do serc nawet najodważniejszych. I z kart powieści Mitchell przebija sentymentalizm, typowo kobiecy pacyfizm, będący namiastką trzeźwej analizy wojny i negatywnego stosunku do niej autorki.

„Gdy wojna się skończy“... To przetrwanie silnej, symbolicznej Scarlett odbędzie się prawdopodobnie na innych już podstawach. Na Południu biali O'Harowie będą musieli może sami zgiąć plecy przy zbieraniu złotodajnej bawełny, po to by na Północy inni biali mogli zatrudnić „wolnych“ Murzynów przy precyzyjnych maszynach amerykańskiego Manchesteru. Takie są losy współczesnego społeczeństwa i dlatego Scarlett w swojej dalszej wędrówce będzie musiała kroczyć drogą wyznaczoną nieubłaganie przez historię...

Powieść Mitchell napisana została z dość dużym rozmachem. Niektóre jej partie przypominają żywo starego Hamsuna i jego obrazy odwiecznej walki człowieka z naturą i losem. Szkoda, że Mitchell nie skondensowała pierwszej części swojej powieści. Rażą tam zwłaszcza dłużyzny oraz psychologicznie i artystycznie prymitywne „tłumaczenia“ autorki „na stronie“, co przypomina stary teatr i trąci myszką. Natomiast dokładna znajomość epoki (druga połowa XIX wieku) oraz umiejętne artystycznie odtworzenie jej, czyni z książki Mitchell lekturę bardzo dobrą. Czytelnik będzie na pewno niecierpliwie oczekiwać dalszego ciągu powieści.

Przekład Celiny Wieniewskiej, pomijając kilka niedociągnięć stylistycznych — dobry.

J. K. W.

W imię porządku moralnego

Demokratyczna, niezależna republika czechosłowacka w tej chwili nie istnieje. Ludzie rządzący obecnie w Pradze są już tylko posłusznymi wykonawcami woli Berlina. Poniżej przytaczamy za „Krakowskim Kurierem Porannym" deklarację czechosłowackich przedstawicieli kultury, zwróconą do całego świata cywilizowanego. Autorzy tej deklaracji reprezentują kwiat umysłu i ducha narodu, jego niezależną twórczość kulturalną i nie mają oczywiście nic wspólnego z ludźmi, którzy własnymi rękami przekształcają swój kraj w lenno Trzeciej Rzeszy.

„Z różnych stron słyszymy radość i entuzjazm z napozór zabezpieczonego pokoju. Nasz naród jednak został zdradzony przez tych, którym sam wierności dochował. W tej chwili, jednej z najsmutniejszych jaka pozostała nasza historia podnosimy my, przedstawiciele życia umysłowego czeskiego i słowackiego gorący protest poparty świadomością własnej krzywdy, przeciw haniebnemu sposobowi, jakim naszym kosztem został okupiony pozorny pokój w Europie.

Terytorium, które przez tysiąc lat bez przerwy tworzyło część Ziemi Czeskiej, zostało rozdarte brutalną ręką. Zostaje zniszczona naturalna jedność kulturalna, jaka wytworzona została na

przestrzeni wieków — i to wbrew woli ogromnej liczby naszych niemieckich rodaków. Odczuwamy dziś trwogę o nasz naród i o tych, którzy przyjdą po nas. Temu żywemu narodowi, jego przyszłym generacjom odebrały uchwały konferencji monachijskiej niezbędną część jego przestrzeni potrzebnej do życia. Odbiera się mu prawo wspólnego korzystania z naturalnego bogactwa naszych krajów, położonego właśnie pod granicznymi górami. Odbiera się mu też wkład jego dokonanej już pracy w krajach zabranych. Odbiera się mu, względnie niszczy się jego egzystencję, części jego obywateli, zwłaszcza tych społecznie słabszych tak, że jest rzeczywiście zagrożony w samych korzeniach swej egzystencji. Jego przemysł rozbija się i drogi komunikacyjne przecina się.

Nigdy nie wierzyliśmy, żeby w świecie cywilizowanym można było kiedyś w sposób do Boga o pomstę wołający prawo zastąpić gwałtem, jak to się stało w postanowieniach czterech mocarstw, powziętych przeciw nam bez wysłuchania nas. Nigdy nie wierzyliśmy też, żeby tak pogwałcone być mogły międzynarodowe umowy i zobowiązania. Nie chodzi tylko o nas, chodzi o całą przyszłość ludzkości europejskiej a głównie małych narodów, których egzystencja oparta jest na sile porządku moralnego. I dlatego apelujemy dziś do sumienia wszystkich ludzi kultury. Uświadomcie sobie, że przez pogwałcenie słabszego, zdradę i tchórzostwo nigdy nie dojdzie się do prawdziwego i trwałego pokoju. My, przedstawiciele świata duchowego, czeskiego i słowackiego, oświadczamy, że nigdy nie zrezygnujemy ze swych praw do swej ziemi historycznej, do swobodnego życia na niej i z możności rozwoju gospodarczego, chociażby nas przemoc fizyczna z zewnątrz zmusiła do uznania jej pretensji. Uświadomcie sobie, że jest waszym obowiązkiem, poprzeć nas w tej walce duchowej i zabezpieczyć w ten sposób prawdziwy pokój, dający wszystkim prawo do życia.

Pamiętajcie, że nasz los dosięgnie i was, jeżeli nie przeciwstawicie się dość energicznie metodom gwałtu i ucisku, które zdeptały nas. Podpisane:

(—) Czeska Akademia Nauki i Sztuki. — Akademia Sztuk Pięknych. — Szkoła Artystyczno - Przemysłowa. — Państwowe Konserwatorium Muzyki i Sztuki Dramatycznej. — Macierz Słowacka. — „Umelecka Beseda". — Koło Pisarzy Czeskich. — Związek Pisarzy Czechosłowackich. — PEN Klub w Pradze. — Słowacki PEN Klub. — Grupa pisarzy Morawskich „Blok". — Związek Pisarzy Beletrystów „Maj". — Związek Pisarzy Słowackich. — Syndykat autorów czechosłowackich i kompozytorów muzycznych. — Czeska „Filharmonia". — Klub muzyków orkiestralnych. — Klub Kompozytorów. — Kwartet Ondrzyczka. — „Praski Kwartet". — Koło Muzyki Współczesnej „Pritomnost". — Stowarzyszenie Artystów Sztuk Pięknych. — Klub Artystów Sztuk Pięknych „Alesz". — Koło Artystek Sztuk Pięknych. — Zawodowa organizacja Czechosłowackich Artystów Sztuk Pięknych. — Stowarzyszenie Artystów Sztuk Pięknych w Brnie. — Zrzeszenie Artystów Sztuk Pięknych. — Zrzeszenie Morawskich Artystów Sztuk Pięknych. — Koło Artystów Sztuk Pięknych „Manes" — Koło Artystów Sztuk Pięknych „Myslbek". — Związek Czeskich Artystów Grafików „Holar". — Związek Artystów Słowackich. — Syndykat Artystów Sztuk Pięknych. — Słowacka „Umelecka Beseda". — Związek Dramatyczny. — Klub Solistów Teatru Narodowego. — Klub Czeskich i Niemieckich Pracowników Teatralnych. — Koło Solistów Miejskich Teatrów Praskich".

Dziwy nadzwyczajne

Czytamy:

„W ciągu ostatnich lat w „dołach", w masach chłopskich zaczęło przychodzić do głosu młodsze, powojenne pokolenie, dla którego nie wystarczała już tylko walka o mandat dla kogoś. To młodsze pokolenie zaczęło coraz częściej wysuwać hasła walki o własne sprawy — zaczęło wołać nie o mandat, lecz o program, o idee... oto typ działacza społecznego zaczął coraz bardziej zyskiwać w opinii mas chłopskich... wieś wiedziała, że działacz taki nie agituje na swoją korzyść, że nie działa we własnym interesie, ale w interesie całej masy i — że nagrodą dla niego nie jest mandat poselski, ale często... mandat karny!... na wsi zaczęła się dyskusja o rzeczy istotne, o sprawy zasadnicze — i dlatego na pierwszy plan wysuwają dziś chłopi program, wyrażający się w słowach: walka o Polskę Ludową, Demokratyczną... dawny typ „politykiera", „mandatowicza"... w przeważnej większości stanął po ...przeciwnej stronie barykady".

Kto to tak wymownie broni młodej, ludowej wsi? Kto tak potępia wszelkich przeciwników Demokratycznej Polski Ludowej (wielkimi literami!)? Kto woła o program i idee?

Risum teneatis amici. To „Zespół" — organ „trustu mózgów" Ministerstwa Rolnictwa".

I gotówby człowiek krzyknąć: „Czegoż więcej trzeba!", gdyby nie pewne wątpliwości i dręczące pytania, które się cisną na usta:

Po której „stronie barykady", mówiąc własnym obrazowym stylem „Zespołu", znajdowali się ci panowie przez ostatnich lat dziesięć, kiedy na wieś polską nie tylko na młode pokolenie tej wsi, ale i na stare, wyrosłe w przedwojennym duchu ludowym, uderzała szturmem sanacja, gromiąc „doktrynerstwo" i „partyjnictwo", synonimy tego dążenia do programu i idei, które tak chwalą na dzisiejszej naszej wsi?

Po której „stronie barykady" znajdowali się w okresie, kiedy wieś polska, stawała pod własnym sztandarem walki o Demokratyczną Polskę Ludową, która im się tak podoba?

Po której „stronie barykady" znajdowali się, gdy sanacja na gwałt zbierała wszystkich tak słusznie przez nich określonych „mandatowiczów" i „politykierów", przedstawiając ich krajowi jako prawdziwych przedstawicieli chłopa polskiego?

Gdzie znajdowali się wtedy, kiedy na wieś polską sypały się owe, tak słusznie przez nich wymienione mandaty karne za pracę społeczną i czy przypadkiem nie mieli nic, i to absolutnie nic wspólnego z tymi, którzy te mandaty rozsyłali?

Ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni. Trudno doprawdy inaczej określić widowisko, kiedy naraz ci panowie odczuli sympatię dla walki o Demokratyczną Polskę Ludową, dla chłopskiego programu i idei.

Powiemy tylko jedno: stare ukraińskie przysłowie "Na seło liudej duryty" pochodzi z innych, dawnych czasów.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Biblioteczka „Czasu", Warszawa 1938:

Ks. Konstanty Michalski: Pochodnia gorejąca. Przemowa nad trumną K. H. Rostworowskiego.

Ks. Kontanty Michalski: Człowiek z Sympozionu.

Stanisław Śreniowski: Kiedy skazańca chustą dziewczyna zarzuci...

Józef Krzyżanowski: Czy Kraków zbudowano za posag Św. Kingi?

Prof. Roman Dybowski: „Poland old and new".

Roman Dybowski, Tadeusz Garbowski, ks. Konstanty Michalski, Zygmunt Zawirski: Wspomnienie pośmiertne o Witoldzie Rubczyńskim.

Reportaż i przemówienie na uroczystości nadania tytułu doktora honorowego Dr St. Badeniemu.

Al. Bocheński, Stan. Łoś, Włodzim. Bączkowski: Problem Polsko-Ukraiński w ziemi Czerwieńskiej. Drugi nakład. Wydawca „Polityka", Warszawa 1938.

Ryszard Bolesławski: Szlakiem ułanów. Powieść. Przełożył L. J. Wirski. Warszawa 1939. Inst. Wydawn. „Plan".

Od Wydawnictwa

Abonentów,

którzy

zalegają

z opłatą prenumeraty za

kwartał ubiegły i bieżący

prosimy

o uregulowanie

należności

LISTY DO REDAKCJI

Mieniąc się szczerym przyjacielem „Epoki" od czasu ukazania się jej w teraźniejszej szacie, — pozwolę sobie także zabrać głos w interesujących mnie a dojrzewających, jak widać, projektach zreformowania pisma.

Solidaryzując się ze zdaniem czytelników „Epoki", wyrażonych w ich listach do Redakcji — zasadniczo uznaję za rzecz pożądaną zmianę dekady na tygodnik.

Pewny jestem, że reforma ta podobnie jak przejście poprzednie z dwutygodnika na dekadę — nie osłabi dotychczasowej linii ideowej i nie obniży wysokiego poziomu pisma.

Natomiast równie stanowczo oponowałbym przeciwko zmianie estetycznego formatu i poważnej szaty graficznej „Epoki" — na format i szatę gazetową. Teraźniejszą „Epokę" nie dość jest raz przeczytać, — a często wracać do niej trzeba jak do dobrej — pieczołowicie przechowywanej — książki i czerpać z niej nie tylko otuchę, lecz także wskazania rozumu i doświadczenia.

„Epoka" jest w równej mierze dobrem jej współpracowników — jak i czytelników, oni zatem wszyscy winni zabrać głos w interesującej ich sprawie. Zobaczymy wówczas, po czyjej stronie będzie większość: czy tych, co proponują format gazetowy, czy też tych, co opowiadają się za zachowaniem dotychczasowej szaty graficznej „Epoki".

Łączę serdeczne życzenia dalszej owocnej pracy i pomyślnego rozwoju pisma — pozostaję itd.

Władysław Wysocki.

Do Przyjaciół i Prenumeratorów „EPOKI"

Niejednokrotnie wypowiadaliśmy zdanie, że współpracownikami „Epoki" są nie tylko ci, którzy w niej piszą, ale także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają i rozpowszechniają. Dla dalszego powodzenia naszego pisma jest rzeczą niezbędną stałe jednanie nam nowych prenumeratorów, przez powiększanie bowiem ich kręgu wzmacnia się podstawa materialna „Epoki".

Jakkolwiek zasięg oddziaływania „Epoki" wzrósł znacznie od chwili jej wznowienia, jednakże ambicją redakcji zgodnie z wymaganiami chwili obecnej jest takie rozszerzanie i doskonalenie pisma, aby jako silne ognisko myśli mogło jeszcze skuteczniej przeciwstawiać się naporowi ciemnych i brutalnych sił.

W rękach więc przyjaciół „Epoki" spoczywają możliwości jej szybkiego i dalszego rozwoju. W tym przeświadczeniu niechaj nam wolno będzie odwołać się do naszych stałych Czytelników i prosić o zdobywanie nowych abonentów i o adresy osób, którym należy przesłać numery okazowe, osób, co do których można mieć uzasadnione domniemanie, iż przesłane numery przyjmą jako zachętę do zgłoszenia prenumeraty.

Odwołujemy się także do tych naszych Abonentów, którzy zalegają w opłacie prenumeraty, o jak najszybsze jej uregulowanie, gdyż zaległości te ciążą w sposób dotkliwy na budżecie pisma.

Wydawnictwo „Epoki"

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—, w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5431 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.